odgłosy

Nr 24 (328)
14. VI. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Spotkania z Hermannem Buddensiegiem ● Niedaleko od Łodzi ● MTP–dzień minus trzeci ● Opowiadania Tadeusza Gicgiera ● Spółka morderców ● O długim festiwalu krótkich filmów ● Recenzje ● Felietony

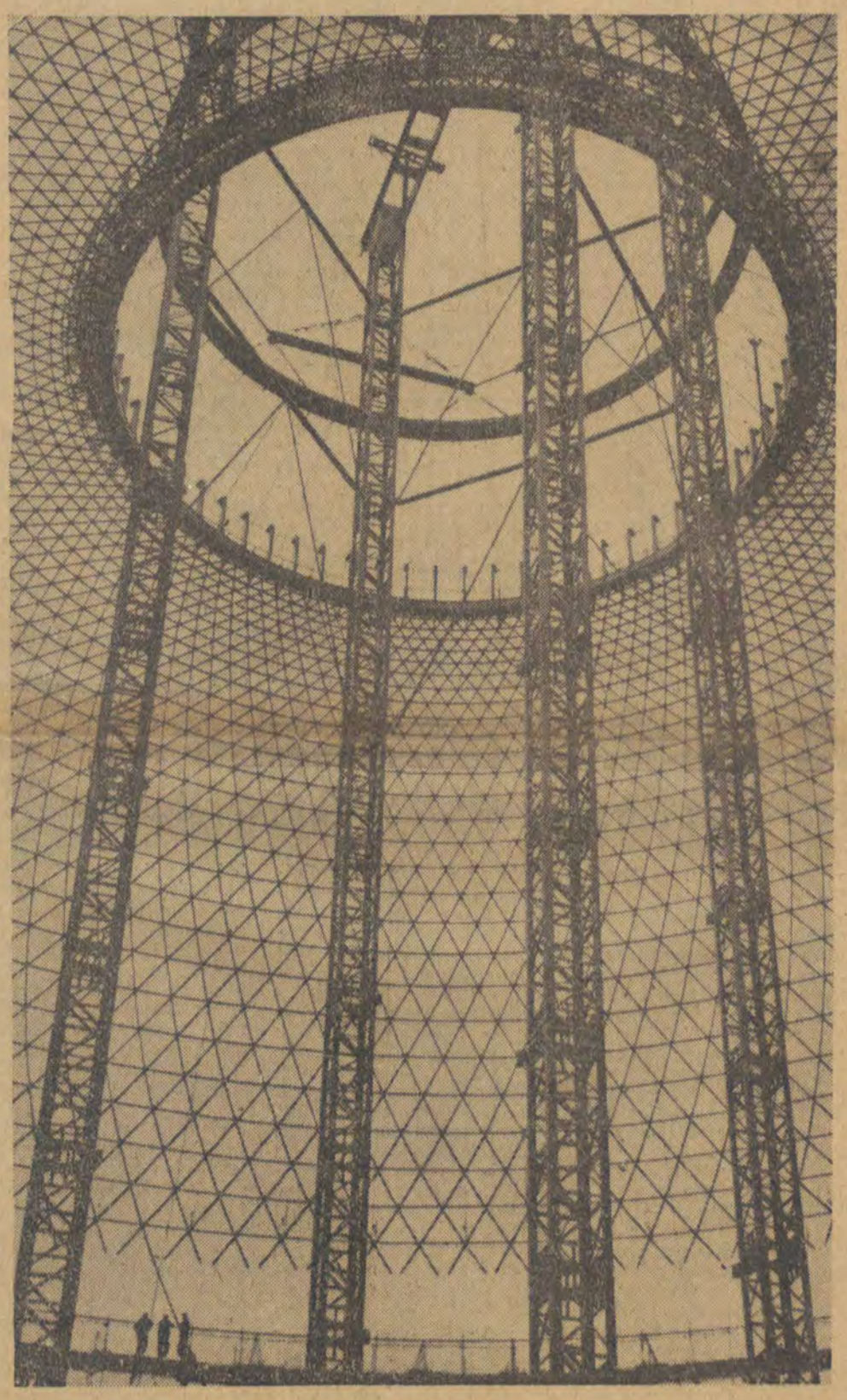

W przededniu IV Zjazdu Partii redakcja „Odgłosów" zwróciła się do I Sekretarza KŁ PZPR tow. Michaliny Tatarkówny-Majkowskiej z prośbą o rozmowę. Stenogram rozmowy zamieszczamy poniżej:

WCZORAJ DZIŚ JUTRO

ODGŁOSY: — *W dyskusjach przedzjazdowych można było często usłyszeć twierdzenie, iż w porównaniu z innymi ośrodkami wielkomiejskimi i przemysłowymi naszego kraju, łódzkie XX-lecie cechuje pewna odrębność. Czy tak jest w istocie?*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Wydaje mi się, że jest to pogląd słuszny. Odrębność bowiem polegała chociażby na tym, że Łódź jako jedyny duży ośrodek przemysłowy w kraju, nie była zniszczona w 1945 roku bezpośrednimi działaniami wojennymi, jak np. Warszawa czy Wrocław. Z tych względów miasto nasze, z uwagi na charakter przemysłu, przyjęło na siebie trudny lecz zaszczytny obowiązek zaopatrzenia wyniszczonego społeczeństwa w odzież, jak najszybszego oddania do pustego jeszcze wówczas skarbu państwa wypracowanej akumulacji na odbudowę kraju i zdewastowanego przemysłu. Łódź pierwsza z miast polskich rzuciła hasło „niech zadymią kominy". Stąd też odbudowę miasta mimo ogromnych zaniedbań w dziedzinie komunalnej, socjalnej i kulturalnej rozpoczęliśmy nieco w późniejszych latach, i to jest jego drugą odrębnością.

Z takiego stanu rzeczy wynikały wielorakie konsekwencje. Aż po rok 1955 a więc przez całe pierwsze dziesięciolecie, nasze miasto nie tylko czyniło maksymalne wysiłki by dostarczyć krajowi odzieży, ale jeszcze i wiele łożyło na odbudowę kraju, w nikłym tylko stopniu partycypując w tych inwestycjach. Trzeba zresztą stwierdzić, że w tych trudnych latach łodzianie okazywali wysoce obywatelskie zrozumienie sytuacji kraju. Łódź rozumiała swą misję, swoje ówczesne zadania: i z dumą trzeba stwierdzić, że spełniła je na piątkę. A przecież mniej od innych zniszczone miasto było od początku swego istnienia wyjątkowo zaniedbane, pozbawione podstawowych urządzeń komunalnych. To było miasto najczarniejszej nędzy mieszkaniowej i osławionej kapitalistycznej zabudowy.

ODGŁOSY: — *Więc jednak start Łodzi do socjalistycznej przebudowy był wyjątkowo trudny.*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Bezsprzecznie. I tym większą dumą może nas napawać fakt, że mimo to już dziś 1/4 ludności miasta mieszka w nowych, słonecznych mieszkaniach, wyposażonych w urządzenia komunalne i sanitarne. A przecież kryje się za tym nie tylko rozmach budownictwa mieszkaniowego, już sam w sobie imponujący, ale i ogromny wysiłek w rozbudowie urządzeń komunalnych: woda z Pilicy, elektrociepłownia, urządzenia kanalizacyjne, gazociągi, wreszcie i przebudowa systemu komunikacyjnego miasta. To doprawdy gigantyczna praca. Często w natłoku codziennych trosk tracimy z oczu jej imponujący rozmach i nie dostrzegamy, że przecież starą Łódź stopniowo wyburzamy, a na jej miejscu wznosimy nowe, socjalistyczne miasto: Żubardź, Kurak, Bałuty z Osiedlem Wł. Bytomskiej — to nowe miasto rozrasta się na naszych oczach z dnia na dzień i to jest naprawdę historyczne osiągnięcie XX-lecia.

ODGŁOSY: — *Specyfiką wyróżniającą Łódź jest jeszcze — jak to się często określa — jej „feminizm". W żadnym innym wielkim ośrodku przemysłowym Polski kobieta pracująca nie odgrywa tak wielkiej roli jak w Łodzi.*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Złośliwi twierdzą, że Łódź jest „babskim" miastem. Nie uważam zresztą by takie określenie przynosiło Łodzi ujmę. Przeciwnie, ta jej ofiarność o której mówiliśmy przed chwilą, granicząca często z samozaparciem, ma w sobie coś z sytuacji kobiety w rodzinie. A czyż to nie zaszczytna misja? Przecież i kobieta w wielu przypadkach często ponosi najcięższe ofiary, jej też w zasadzie przypada w udziale najcięższa praca.

ODGŁOSY: — *A jak obecnie należy ocenić sytuację kobiety pracującej w naszym mieście?*

TOW. M. TATARKÓWNA: — I ta sprawa ma wiele aspektów. Uczyniliśmy ogromny wysiłek by kobieta pracująca miała lżejsze i lepsze życie. Temu służy budownictwo mieszkaniowe, temu służą nowe urządzenia komunalne. Nasze ustawodawstwo gwarantuje kobiecie równe prawa, w szczególności dokonaliśmy tego zrównania w podstawowej i decydującej dziedzinie — prawa do pracy. Wreszcie uczyniliśmy wszystko na co było nas stać w dziedzinie

(Dalszy ciąg na str. 3)

JERZY DARNAL

U MARCHLEWSKIEGO

Tego dnia upał wzmógł się jeszcze, jak to on potrafi czasem w końcu maja. Myślę, że nie ma człowieka, który by lubił zebrania trwające ponad godzinę, a w upale każda minuta liczy się podwójnie. Na sali pracowały wentylatory, co się dawało odczuć falami przyjemnego chłodku, chociaż samego warkotu ich skrzydełek nie można było usłyszeć — nie dalej niż trzydzieści metrów, za oknem jazgotała tysiącami metalowych obracających się części maszyn hala produkcyjna. W ogóle sala narad osaczona była oddziałami ogromnych zakładów w pełnym ruchu. Zresztą nie tak znowu dawno na miejscu ustawionych w trzy długie rzędy stołów konferencyjnych pracowały maszyny starego typu.

Było kilka minut po dwunastej, kiedy wszyscy zgromadzeni zajęli miejsca w prezydium. Goście, zwłaszcza goście dostojni, zawsze podnoszą autorytet obrad, ale ich obecność studzi zapał mówców. Zblamować się przed swoimi, pół biedy, ale w takim gronie już zupełnie nie wypada. Na samą myśl o tym można dostać tremy, a wtedy, czy człowiek tego chce czy nie, język i tak stanie kołkiem. Przy stole prezydialnym niedaleko błyszczących główek mikrofonów siedział Ignacy Loga-Sowiński, a obok niego Michalina Tatarkówna.

Tok zebrania ma zawsze swoją dramaturgię. Czynnikiem organizującym jest porządek obrad przegłosowany przez salę, ale poza tym wszystko jest improwizacją, wszystko trzeba od siebie, bez suflera. Ponieważ wiadomo, że najtrudniej jest zawiązać akcję, z pomocą przychodzi referat. Jest on zawsze przemyślany, wyważony, w czym tkwi jego atrakcyjna siła będąca jednocześnie jego słabością. Język pisany nie jest jednak mową bezpośrednią, od siebie, w której rzeczy ważne pomieszane są z mniej istotnymi, ale za to życiowymi.

Usłyszałem że referat wygłosi Premier. Nie, Józefa Cyrankiewicza nie było na sali, zapowiedzi nie rozniosły głośniki zainstalowane na udekorowanych kolumnach. To był szept dwóch robotników w pobliżu mnie pełen poufnego ciepła, jakie często niesie zgromadzenie ludzi, którzy się dobrze znają. Premier był zupełnie swój, zakładowy, a chociaż fabryka Marchlewskiego jest prawdziwym miastem, 7.600 ludzi w końcu nie takie najgorsze miasteczko, to ludzie nadali sekretarzowi partii Jęckowskiemu przezwisko trochę na wyrost. Ale swoje racje Marchlewszczacy na pewno mają, bo są to najpierwsze w kraju zakłady bawełniane. Geografii można się uczyć u Marchlewskiego na samych specyfikacjach przynajmniej trzeciej części całego kursu, eksport obejmuje trzydzieści cztery kraje. Pozostałych dwóch trzecich trzeba się uczyć już z map i podręczników.

Referat przyniósł rzeczowy i obfity materiał, ale na ogół, jak to się można było zorientować po szeptach, ludziom już znany. W końcu zakładowa konferencja partyjna była ostateczną instancją spraw które wyłoniły się wcześniej na szczeblach oddziałów, a nawet w najmniejszych komórkach — w grupach partyjnych. W dyskusji wzięli udział ludzie z legitymacjami i bez legitymacji, chociaż bezpartyjni oddziaływali na dyskusję pośrednio, poprzez osobiste zwierzenia prywatne, kanałami podskórnymi, bo publicznie nie chcieli się wychylać. Referat był więc zestawieniem tych niepokojów, tych nadziei, którymi zakład żył przez długie tygodnie przed konferencją, ale tylko zestawieniem. A tak już jest, że bilans najciekawszy jest dla księgowych. Ludzie rozumieli wprawdzie wymowę parametrów i procentów, ale to wszystko zsumowane było

(Dalszy ciąg na str. 3)

odgłosy w świecie

BOMBY W MADRYCIE

1 czerwca, dziesięć głośnych eksplozji poderwało na nogi mieszkańców Madrytu i zagranicznych turystów, którzy chłonęli rześki chłodek wieczoru na tarasach wytwornego hotelu Hilton.

Rząd hiszpański napiętnował te zamachy na turystów, „przywożących cenne dewizy"... Na szczęście nikt nie został ranny i nikogo nie aresztowano. „Bomby" okazały się petardami, policja zachowała spokój, może właśnie dlatego, iż kilka dni wcześniej dokonała masowych aresztów prewencyjnych, o czym turyści, oczywiście, nie mieli pojęcia.

„Zamachy bombowe na turystów" — to oficjalna wersja urzędowa. Prawda jest inna. Od 20 kwietnia br. na Hiszpanię spadła fala aresztów. Obecne represje są wprawdzie nie tak masowe, jak to miało miejsce w latach 1947 i 1958, niemniej w Madrycie więzienia są przepełnione, a ponad 50 tys. osób jest inwigilowanych. Pewna liberalizacja, którą rok temu obwieszczał z biciem w bębny frankistowski reżim — należy dziś do przeszłości. W Hiszpanii wre.

Już trzeci rok z rzędu strajkują górnicy Asturii. Od 20 kwietnia nie pracuje ogółem 42 tys. górników; 15 tys. porzuciło pracę, a 27 tys., żeby uniknąć lokautów, aresztowań i tortur (ostatnio znów sygnalizowano kastrację dwóch górników dokonaną w lokalu jednego z komisariatów policji!) strajkuje pod ziemią, okupując szyby i chodniki kopalniane.

W Asturii, strajk tli się od roku 1962. Właściciele nie chcą wydać grosza na unowocześnienie kopalń, urządzenia i instalacje są zużyte do granic możliwości, katastrofalnie niskie płace, brak wolnych związków zawodowych, masy bezrobotnych, wegetujące w warunkach urągających wszelkiej godności ludzkiej. Doprawdy, trudno sobie wyobrazić jak straszny los zgotował Hiszpanii frankistowski reżim.

Emigracja i pewne, sztuczne zresztą, ożywienie przemysłowe wchłaniają część bezrobotnych, Jest to kropla w morzu. Potajemnie działające, mimo okrutnych represji, syndykaty robotnicze (UTG — komunistyczne i CNT — katolickie), nie mogą podołać zadaniu. Wydaje się też, iż właściciele kopalń, chcąc opóźnić wprowadzenie w życie dekretu o tzw. reorganizacji, który narzuca im pewne obowiązki wobec robotników, starają się przeciwstawić tajne syndykaty syndykatom rządowym.

Wybuch nastąpił 20 kwietnia br. po zwolnieniu z pracy 4 i pół tysiąca górników za udział w strajku okupacyjnym. Natychmiast proklamowano strajk solidarnościowy; górnicy przed zejściem pod ziemię wyrzucili siłą kierowników sztolni i rządowych syndykalistów. Strajk rozszerzył się, obejmując swym zasięgiem robotników przemysłu metalowego w Kraju Basków. Ostatnio porzuciło również pracę 4,5 tysiąca górników w rejonie Bilbao. Zastrajkowali także robotnicy zakładów metalurgicznych w Saint-Sebastian oraz trzech doków. Wydobycie węgla spadło o 75 proc., a koleje żelazne musiały ograniczyć ruch. Od 15 kwietnia nie pracuje ok. 4 tys. górników w zagłębiu górniczym Puertollano. Zostali oni wyrzuceni z pracy tego samego dnia, w którym zażądali podwyżki płac i wolnych związków. W dwanaście dni później prowincjonalne władze rządowych związków zgodziły się na przyjęcie delegacji strajkujących robotników. Przybyło na nią 5 górników. 30 kwietnia te same władze oświadczyły ni stąd ni zowąd o odrzuceniu żądań robotników, o aresztowaniu delegatów i otwarciu kopalni.

Górnicy Puertollano dobrze zrozumieli lekcję. 2 maja zeszli do kopalni, lecz postanowili tam kontynuować strajk. Pod ziemią przebywają do dnia dzisiejszego!

Nie jest to jeszcze rewolucja. Zapewne, ale jest to już otwarte wyzwanie rzucone rządowi Franco przez północ i południe kraju. Większość górników Asturii i Puertollano, 10 tys. z Penarroya czy Rio Tinto porzuciło pracę w początkach maja. Hasła strajkowe rzucono w zakładach „Pegaso" (samochody ciężarowe) i w zakładach „Metalurgicas Madrilenas" w Madrycie. Ogłosiło strajk 20 tys. robotników rolnych w rejonie Jeraz de la Frontera.

1 maja ponad 100 tys. mieszkańców Madrytu w większości z dzielnic robotniczych, przybyło na wiec do parku Casa del Campo. Broszura polityczna, w której apelowano o wzięcie udziału w manifestacji, była rozpowszechniona tak masowo, iż oficjalna prasa frankistowska, po raz pierwszy w swej historii, zamieściła na ten temat obszerną informację, mówiąc o „wywrotowej propagandzie"... Te szerokie enuncjacje miały na celu zastraszenie ludności. Zamiar spalił na panewce.

Broszury o jednolitofrontowej treści politycznej, podpisane przez czołowych działaczy głównych sił opozycyjnych, od komunistów do katolików, zostały również szeroko rozpowszechnione w dniu 1 maja w Saint-Sebastian i w Bilbao, gdzie robotnicy uczcili święto pracy w masowym pochodzie.

Rząd usiłował pomniejszyć i zbagatelizować te szerokie ruchy mas robotniczych i chłopskich, sprowadzając je do „cienkich warstw ludności, wiecznie niezadowolonych". Później spróbował je zawęzić do „odosobnionej działalności agentów komunistycznych nasłanych z zagranicy". Na koniec zabrał głos sam minister spraw wewnętrznych: „strajki mają charakter polityczny". Brzmiała w tym groźba i chęć zastraszenia.

Strajki w Hiszpanii są rzeczywiście polityczne. W trwałość reżimu frankistowskiego nikt już dziś nie wierzy. Ani klasa robotnicza, ani klasy posiadające. Przykłady? Proszę bardzo. Czy np. minister lotnictwa — Lacalle, którego dom przeszukała policja w początkach maja br., nic nie wiedział o działalności swego syna? Takie pytanie stawiają sobie policja i wojsko. Bo wszak faktem jest, że syn ministra — inżynier Daniel Lacalle, zatrudniony na lotnisku w Madrycie, wykorzystał swe stanowisko i przyjął nadane z Paryża matryce pisma „Monde Ouvrier", a następnie na oczach policji i żandarmerii wywiózł je z lotniska ministerialnym samochodem swego ojca.

Jest także faktem, iż dzięki profesorom, którzy krzewią postępową myśl naukową, a często nawet wyraźnie marksistowską, Uniwersytet Madrycki staje się centrum „idei wywrotowych". Stawia to reżim frankistowski wobec wyboru: albo przymknąć na to oczy, albo przeciwstawić się i wywołać międzynarodowy skandal.

Seminaria profesora Tiermo Galvana z Salamanki, na których nader często wymienia twórców idei rewolucyjnych, cieszą się ogromną popularnością. W kwietniu miała się nawet odbyć specjalna seminario-konferencja z udziałem studentów wszystkich wydziałów z Uniwersytetu Madryckiego. W rezultacie na konferencję nie zezwolono, a policja otoczyła gmach uczelni. Masy studentów, które pozostały na ulicy przerwały kordon i wtargnęły do gmachu. Zabarykadowano bramy i wszystkie wejścia. Rektor przyrzekł bezkarność, jeżeli podadzą swoje nazwiska. Studenci odmówili. Jednakże 93 spośród nich rozpoznano i wyrzucono z uczelni. 15 aresztowano. Dziś wszystkie uczelnie w Hiszpanii są przed nimi zamknięte. Niektórzy mają jeszcze nadzieje na studia za granicą.

Opr. St.

SPOTKANIA Z HERMANNEM BUDDENSIEGIEM

W Łodzi przebywał kilka dni, na zaproszenie Katedry Teorii Literatury Uniwersytetu Łódzkiego, dr Hermann Buddensieg z Heidelbergu. Przed tem uczestniczył on w uroczystościach 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego jako jedyny zresztą przedstawiciel Niemieckiej Republiki Federalnej. O jego wrażeniach z pobytu w Krakowie mogliśmy czytać w jednym z ostatnich numerów „Polityki", a także oglądać jego zdjęcie z charakterystycznymi i zwracającymi powszechną uwagę bokobrodami.

Z krótkich doniesień prasy codziennej wiemy już (zresztą kiedyś pisaliśmy o tym i w „Odgłosach"), że Hermann Buddensieg ma szczególne zasługi wobec kultury polskiej, gdyż od lat dziewięciu wydaje w Heidelbergu czasopismo „Mickiewicz-Blätter", popularyzujące literaturę polską dawną i współczesną, a w roku ubiegłym ukazał się w druku jego przekład „Pana Tadeusza" nakładem Eidos Verlag w Monachium, który uznany został za najlepszy z dotychczasowych przekładów eposu Mickiewicza na język niemiecki. O przekładzie tym ukazało się wiele pochlebnych recenzji, mieliśmy również okazję czytać szereg listów wybitnych intelektualistów, którzy specjalnie dziękowali Hermannowi Buddensiegowi za jego dokonanie. Między innymi pisali do autora przekładu z okazji wydania „Pana Tadeusza" wybitny filozof Martin Buber, znany germanista i slawista francuski Robert Minder, eseista i krytyk szwajcarski o nazwisku światowym Max Rychner czy wreszcie pisarz zachodnioniemiecki starszego pokolenia Kasimir Edschmied, podnosząc wysoko rangę jego zasług w przybliżeniu niemieckiemu obszarowi językowemu arcydzieła literatury polskiej.

W siedzibie Katedry Teorii Literatury spędziliśmy z Buddensiegiem piękne godziny. Czytaliśmy wspólnie wybrane fragmenty „Pana Tadeusza", by móc porównać przekład z oryginałem. Przekonaliśmy się, że jest to rzeczywiście tłumaczenie bardzo dobre, trafiające głęboko w istotę utworu, oddające jego klimat, charakter i wszystkie niuanse uroków poetyckich pierwowzoru. Hermann Buddensieg nie skąpił nam informacji, chętnie opowiadając o swojej drodze do Mickiewicza, literatury polskiej i do Polski. Mimo przekroczonej siedemdziesiątki (w co zresztą nikt nie chciał wierzyć i uwierzyliśmy dopiero po ukazaniu nam przez niego dokumentu), Hermann Buddensieg trzyma się znakomicie, umie i lubi opowiadać, a ponadto (co jest wyjątkowo cenne) posiada poczucie humoru. Wywody swoje okraszał anegdotami, nie stronił od dygresji i ciekawego szczegółu, co w sumie spotkaniom z nim nadało przebieg bardzo interesujący. To samo powtórzyło się na małej konferencji prasowej w siedzibie dziennikarzy. Przy świeczce, ponieważ z powodu burzy światło zgasło, przeczytaliśmy „Koncert Jankiela" (Buddensieg po niemiecku, my — po polsku), by potem wysłuchać jego nadzwyczaj ciekawych dywagacji na tematy związane, rzecz jasna, z literaturą polską. Ostatnio Buddensieg napisał i wydrukował na łamach „Mickiewicz-Blätter" dużą rozprawę o Eichendorffie, dowodząc na podstawie wnikliwych badań, że znał on język polski i że w jego pismach poetyckich można wyśledzić powiązania z kulturą i literaturą wschodniego sąsiada. Tę cenną pracę Buddensieg wyda w oddzielnej książce. Będzie ona z pewnością wydarzeniem dla Niemiec i dla nas, gdyż odsłania zupełnie nowe, nieznane dotychczas szczegóły z życia i twórczości Eichendorffa.

Naturalnie spotkania nasze nie ograniczyły się jedynie do spraw związanych z Mickiewiczem, „Panem Tadeuszem" i czasopismem, wydawanym w Heidelbergu, choć im najwięcej poświęciliśmy czasu w rozmowach. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że w takich spotkaniach nie zabrakło i rozmów na tematy ogólniejsze, na wymianę spostrzeżeń o sytuacji współczesnej poezji i prozy europejskiej, o możliwościach bliższego poznania kultury polskiej i niemieckiej.

W Niemczech zachodnich ludzie nie mają pojęcia o Polsce dzisiejszej — mówi Buddensieg. Ich wyobrażenia są przestarzałe, a poglądy na różne sprawy schematyczne. W Polsce więcej wie się o Niemczech, ale muszę także zauważyć, że obraz Niemiec jest nieco zdemonizowany. Pragnę dodać, że obecnie panuje coś w rodzaju mody na Polskę. Nie tylko zresztą u nas. Otóż nie ma tygodnia, by w radio, telewizji, prasie nie ukazywały się jakieś artykuły o Polsce. Myślę oczywiście o wypowiedziach pozytywnych o waszej kulturze i waszym życiu. O tych, które oprócz rzeczywistej wiedzy, odznaczają się w stosunku do Polski i jej przemian życzliwością i przyjaźnią. Ale niech pan powie, co panu się u nas nie podoba — wtrącam swoje trzy grosze. — Tylko szczerze. Buddensieg śmieje się. A po chwili mówi: — Sądzę, że ludzie u was nie mają wyobrażenia, co to jest czas. Dla nich godziny nic nie znaczą. A przecież liczą się minuty. Nie wszyscy, rzecz jasna. Wszędzie spotykałem się i spotykam w Polsce z gościnnością, o której wiele już napisano. Okazywano mi serdeczność i pomoc. Ale z punktualnością to u was nie tęgo. Myślę, że moi polscy przyjaciele nie wezmą mi tego za złe. Sami zresztą na tę niepunktualność narzekają. Poza tym zauważyłem, że Polacy jedzą bardzo dużo mięsa. Powiedziałbym nawet, że za dużo. Wróćmy jednak do Mickiewicza.

Wróciliśmy. Hermann Buddensieg poczuł się w swoim żywiole. Wyciągał listy, notatki, pisma, numery „Mickiewicz-Blätter" i znowu zanurzyliśmy się w ożywczą kąpiel poezji. Ludzie tacy jak Buddensieg, którzy poświęcili się całkowicie sprawom polskim, zdarzają się w Niemczech raz na stulecie. Przywracają oni wiarę w lepsze Niemcy. Słyszałem, że myśli się w Polsce o przyznaniu Hermannowi Buddensiegowi tegorocznej nagrody PEN-klubu, przeznaczanej dla cudzoziemców szczególnie dla kultury polskiej zasłużonych. Myślę, że tłumacz „Pana Tadeusza" zasłużył na to bardziej, niż ktokolwiek inny. Jeśli więc o mnie chodzi, oddaję swój głos na niego.

Jan Koprowski

POLONICA

ARTYKUŁ O SŁOWACKIM

W „Journal de Geneve" (3 maja 1964) ukazał się duży artykuł, przekraczający kolumnę druku, o Juliuszu Słowackim, pióra Alexandre V. Solovieva. Autor Rosjanin z pochodzenia, jest dziś jednym z najwybitniejszych slawistów Europy zachodniej, a jego dziedziną specjalną jest historia literatury i kultury Słowian w okresie średniowiecza. Soloviev publikuje swoje prace zarówno w czasopismach zachodnich i amerykańskich jak też w ZSRR. Jest on fenomenalnym poliglotą, mówi bowiem po angielsku, francusku, niemiecku, rosyjsku, serbsku, grecku, szwedzku, łacinie. Po polsku mówi tak jak rodowity Polak, a ponadto może się porozumieć po rumuńsku i węgiersku. Wspomniany artykuł o Słowackim pt. „Quand notre pays inspirait a Slowacki un des plus purs joyaux de la poesie polonaise" (Gdy nasz kraj inspirował Słowackiego do napisania jednego z najczystszych klejnotów poezji polskiej) zajmuje się pobytem poety w Szwajcarii oraz poematem Szwajcarii poświęconym. Artykuł, wykazujący znakomitą znajomość sprawy, ujawnia związki poety z krajem Helwetów.

ADAM SCHAFF PO NIEMIECKU

Europa-Verlag w Wiedniu w serii wydawnictw „Europaische Perspektive" wydał książkę Adama Schaffa pt. „Marx czy Sartre"? Podtytuł pracy Schaffa: „Próba filozofii człowieka". Krytyka przyjęła przekład tej książki polskiego filozofa z uznaniem, podkreślając z jednej strony wnikliwość rozważań, z drugiej — jasność wykładu. Książka zawiera życiorys Adama Schaffa, w którym nie pominięto również łódzkiego okresu, kiedy Adam Schaff piastował stanowisko wykładowcy filozofii.

TEATR POLSKI PO WOJNIE

W Hamburgu, nakładem Elwert Verlag, ukazała się książka Karla Hartmanna pt. „Das polnische Theater nach dem Zweiten Weltkrieg" (Teatr polski po drugiej wojnie światowej). Książka liczy 126 stron druku i zawiera 30 ilustracji. Niestety autor ograniczył się przede wszystkim do życia teatralnego Warszawy, wskutek czego obraz teatru polskiego nie jest pełny. Dobre jednak i to. Na, bezrybiu i rak ryba.

CENNA BIBLIOGRAFIA

Niezwykłej pracy dokonała prof. Marion Coleman. W jej opracowaniu ukazała się w Stanach Zjednoczonych bibliografia literatury polskiej w języku angielskim pt. „Polish Literature in English Translations 960—1960." Publikacja ta ma niewątpliwie charakter millenialny i łączy się zapewne w jakiś sposób z uczczeniem Tysiąclecia Państwa Polskiego na kontynencie amerykańskim.

O JUBILEUSZU UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

W dzienniku wiedeńskim „Volksstimme" (31 maja 1964) ukazał się obszerny artykuł pt. „Kraków — tradycja i młodość", poświęcony obchodom 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor artykułu cytuje m. in. słowa rektora uniwersytetu wiedeńskiego, dr Albina Lesky'ego, który brał udział w uroczystościach krakowskich. Oto, co powiedział rektor Albin Lesky: „największe wrażenie odebrali wszyscy uczestnicy w niedzielę 10 maja, gdy uroczysty pochód przesuwał się od starych murów Wawelu do centrum miasta, gdzie znajduje się najpiękniejszy plac Europy. Brali w tym udział wszyscy (ja również)), którzy nie wyobrażali sobie, by coś podobnego było jeszcze w dzisiejszej Europie możliwe".

POLONICA

WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO

(Dalszy ciąg ze str. 1)

modernizacji przemysłu łódzkiego i jego unowocześnienia, co już przynosi efekty i poprawia warunki pracy. Ale to tylko jedna strona medalu. A druga jego strona wygląda tak, że mimo znacznego uwspółcześnienia życia w rodzinie kobieta jako żona, matka, czy też pani domu, obarczona jest niemal zawsze najcięższymi obowiązkami, a przy tym często jeszcze pozbawiona w naszych warunkach wielu udogodnień w codziennym życiu, jak np. pełnego i sprawnego zaopatrzenia, czy też niezbędnych usług. Zresztą było tak zawsze i będzie chyba jeszcze długo. Wynika to bowiem z tradycji i z jej powołania matki i żony.

ODGŁOSY: — *A jakich zmian w tej dziedzinie należy się spodziewać?*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Zmiany obyczajowe na pewno przyjdą wraz z dalszą przebudową socjalistyczną społeczeństwa. Młode pokolenie wyrastające w innych, nieporównanie lepszych warunkach, lepiej będzie organizowało swe życie. I młode kobiety w szerszym niż dotychczas zakresie korzystać będą nie tylko z równouprawnienia ale i ze swych przywilejów. Przyczynią się do tego i czynniki materialne, szczególnie dalszy rozwój budownictwa mieszkaniowego i zapowiadane usprawnienie usług. Te zmiany zachodzić będą często niepostrzeżenie: zresztą widzi się to już dziś, na przykład mechaniczna pralnia stała się powszechnie dostępna. Może w niedalekiej przyszłości stanie się tak i z usługami gastronomicznymi? A każda z tych spraw zamyka jakiś rozdział kobiecej udręki: Usługi, na które w dyskusji przedzjazdowej kładzie się taki nacisk, to przecież konkretna forma pomocy dla pracującej kobiety. Jestem więc pewna, że już w niedalekiej przyszłości łódzka włókniarka będzie miała więcej wolnego czasu dla siebie, będzie bardziej wypoczęta, weselsza i jeszcze ładniejsza. Ale zawsze czuć się będzie w pełni odpowiedzialna — i dobrze, że tak będzie — za wychowanie rodziny i losy dziecka.

ODGŁOSY: — *Wychowanie młodego pokolenia jest i pozostanie nadal podstawowym obowiązkiem łódzkiej kobiety.*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Oczywiście. Młode pokolenie wychowuje matka, a w szkole pedagog, najczęściej też kobieta. Bo przecież nauczycielstwo to „kobiecy" zawód. Należy stwierdzić, że i w dziedzinie oświaty nasze łódzkie XX-lecie ma świetne osiągnięcia. Łódź startowała przecież w tej dziedzinie z niewiarogodnego wprost zacofania. A w ciągu XX-lecia dorównaliśmy innym polskim ośrodkom wielkomiejskim i dziś możemy być dumni z naszego pięknie rozwijającego się ośrodka uniwersyteckiego, z naszych wyższych uczelni i szkół średnich. Znów trzeba tu stwierdzić, że codzienne troski i w tej dziedzinie często przesłaniają nam obraz osiągnięć, dokonanej już przebudowy. Trzeba będzie, oczywiście, prowadzić ją dalej, to proces trwałego doskonalenia, ale fundamenty kładliśmy w naszym XX-leciu.

Niemało również zostało zrobione w dziedzinie rozwoju wśród młodzieży kultury fizycznej i urządzeń temu celowi służących. Chociażby dla przykładu Pałac Sportowy, stadiony Startu i Widzewa, dziesiątki szkolnych sal gimnastycznych, boisk sportowych itp. Nie mówiąc już o dobrej, wyrosłej w naszym 20-leciu kadrze działaczy sportowych.

ODGŁOSY: — *Nasza krótka rozmowa prowadzi więc do optymistycznego wniosku, że XX-lecie zmieniło radykalnie sytuację Łodzi.*

TOW. M. TATARKÓWNA: — Oczywiście. I nie mogło być inaczej. Socjalizm musi — jak to ktoś dowcipnie określił — „dawać się lubić". Socjalizm musi służyć i służy człowiekowi pracy, stwarzać możliwości stałego awansu, poprawiać warunki egzystencji oraz pracy. Przypatrzmy się Łodzi dziś, w roku 1964 i porównajmy ją z Łodzią sprzed dwudziestu lat. Przebudowa naszego miasta jest przecież właśnie przykładem wcielania w życie takiego socjalizmu „który się lubi". A nasze czyny społeczne, i ich coraz większy zasięg? Czy nie są one dowodem, że łodzianie w pełni czują się gospodarzami swego miasta? Jest to na pewno forma świadomości społecznej i właśnie ona daje nam gwarancję, że w następnych dziesięcioleciach postęp pójdzie jeszcze szybciej naprzód. Nie zapominajmy, że to co stworzone zostało w tym 20-leciu stanowi fundament naszej przyszłości. Myślę, że była to dobra robota. Ze możemy być z niej dumni. W dyskusji przedzjazdowej nad tezami w takim właśnie duchu wypowiadali się członkowie partii i bezpartyjni. Z takim przeświadczeniem idą na Zjazd nasi delegaci. O takich sprawach — a więc o łódzkich — będę mówiła zabierając głos na IV Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

ODGŁOSY: — *W imieniu czytelników dziękujemy za rozmowę.*

Rozmawiał: W. BILIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

U MARCHLEWSKIEGO

trudne do przełknięcia, bo przerastało wyobraźnię i przeciętną znajomość procesów technologicznych. Delegaci nieco przytłoczeni trudnym w percepcji materiałem ożywiali się, kiedy coś dotyczyło bezpośrednio ich oddziału i biada mówcy, gdyby się tam w czymś przejęzyczył. W takich momentach można było zauważyć pod maską znużenia czujność i skupienie, to wyzwalało tłumiony stan pogotowia. Pod tym względem i przy stole prezydialnym i na sali obrad panowała niemal idealna równowaga, można było zapomnieć o upale, pito dużo wody sodowej w prezydium ze szklanek, a na sali bezpośrednio z butelek, kobiety też potrafiły pić w ten sposób.

W czasie długich posiedzeń ludzie zawsze dużo palą, konferencje wyborcze trwają najdłużej. Są zebrania na których pali się po prostu z nudów, dla zabicia czasu, z tępą rezygnacją papieros po papierosie. Tego dnia u Marchlewskiego palono dużo, ale z innych powodów. Ludzie przyszli bezpośrednio od maszyny, gdzie każda minuta to jest ileś tam metrów tkaniny konkretnej, dotykalnej, więc paląc dawano zajęcie rękom przywykłym do tego, że trzeba nimi coś robić. Na niezielonym konferencyjnym suknie odbijały ciemniejsze opakowania „Silesji", „Sport" to był unikat nie lada, co nie znaczy, że jak to się powiada klasa robotnicza zdradziła papierosy nazywane niegdyś proletariackimi. Raczej to „Sporty" ją zdradziły nie nadając się do palenia.

Po referacie była maleńka przerwa wypełniona niebieską mgiełką dymu tytoniowego. Jakby wyczuwając zapowiedź czegoś bardzo interesującego weszły na salę młode dziewczyny w kombinezonach, nie, nie delegatki, po prostu posłuchać. Najodważniejsi najczęściej siedzą w prezydium zebrania, dali się poznać i powierzono im kierowanie obradami, ale czy tę ledwo wyczuwalną barierę tremy przełamią delegaci, setka ludzi z okładem. Referat wprawdzie wspominał o człowieku wraz z jego szczęściem, ale czy znajdzie się na sali mówca już nie ze szczęściem, ale z językiem w gębie?

Karteczki z zapisami do głosu utworzyły maleńką piramidkę pod głównym mikrofonem. Potem okazało się, że przemówienia rozbudują te wszystkie sprawy, o których referat wspominał, ale na niektórych ciążyła świadomość reprezentacji określonego oddziału i chociaż to niby były mówione, za bardzo ciążyła na nich skrupulatność określeń. Wtedy zabrała głos robotnica Solarek.

Umieć odnaleźć siebie, swoje doświadczenie życiowe w tym co niosła dyskusja i w tym, co niosły sformułowane przez Komitet Centralny tezy, czyli odnaleźć wartości czysto ludzkie, parametry innej skali wartości. Robotnica Solarek potrafiła tego dokonać. Zza kilogramów przędzy, metrów wyprodukowanych tkanin, usprawnień technicznych wyłonił się żywy, czujący człowiek z jego szczęściem jeśli już trzymać się słów referatu. Pracuje w zakładach od 1922 r. dwadzieścia lat „robiła" w przędzalni, gdzie było do niedawna jeszcze najciężej. Zna losy zakładu jak się zna perypetie swoich najbliższych, widziała na własne oczy rozruch fabryki w czterdziestym piątym, dwa dni po wyzwoleniu Łodzi. Nie patrzyła na ten rozruch, brała w nim udział wygrzebując z rumowiska żelastwa to wszystko, co było częściami maszyn. Ludzie darli pazurami śnieg dobywając cząstkę po cząstce. Tkalnia saurerowska? Klimatyzacja? Oni 21 stycznia 1945 roku, oczywiście wiedzieli, że się zmieni, ale, że właśnie tak, że przybierze kształt ten a nie inny? A ludzie, którzy w tym czasie odgrzebywali śnieg? Z tej porywającej, wspaniałej mowy wyłonił się skomplikowany obraz stosunków międzyludzkich w zakładzie na przestrzeni dziesiątków lat, ona, Solarek, ten bilans obu dwudziestoleci mozolnie zestawiony w referacie miała w sobie przeprowadzony ze skrupulatnością już jakąś inną, żywą, czysto ludzką właśnie, miała ten bilans w swojej pamięci i przywołała na użytek konferencji. Nie pożałowała krytycznych słów pod adresem projektantów całkowicie zmodernizowanych oddziałów, których jakieś tam błędy w wyliczeniach spowodowały przeciekanie dachu. Żeby osłonić maszyny trzeba było rozpiąć nad nimi wybrakowane tkaniny i te „baldachimy" zepsuły cały efekt nowoczesności i postępu.

Na całej sali nie było osoby, która by nie słuchała Solarkowej z przejęciem, bo rąbała twardo, prosto z mostu, jako pracująca i jako kobieta. To wszystko, co się w jej własnym bilansie obu dwudziestoleci nie zgadzało nie mogło zgodzić, jak choćby sklepy w Łodzi pracujące w zasadzie na jedną zmianę, wypowiedziała szczerze nie czując najmniejszej tremy. Było jeszcze jedno podobne przemówienie Marii Dominiak, kawałek biografii charakterystycznej dla tamtych i dla naszych czasów, a potrafiła w nim Dominiak nie tylko własne doświadczenie życiowe zmieścić w tezach zjazdowych, ale więcej jeszcze potrafiła; że ludzie odnajdywali w jej biografii kawałki swojej i reagowali na każde słowo, na każde zawieszenie głosu. Na dworze zrobiło się już szaro i pewnie upał nieco zelżał, ale ludzie nie pamiętali już o tym, byli rozgrzani i poruszeni, a przemówienia nabrały ognia i płynności.

Tego dnia przemawiało piętnaście osób, a dalszych sześć czekało w kolejce, kiedy komisja skrutacyjna zabrała się do zliczania głosów. Kandydatury na czwarty Zjazd wysunięto dwie i napięcie towarzyszące głosowaniu osłabiło na chwilę dyskusję, wybór który się już w tym czasie rozstrzygnął, ale jeszcze nie wiadomo na czyją korzyść odwrócił uwagę od przemówień.

Wtedy poprosił o głos Ignacy Loga-Sowiński. Stary działacz komunistyczny, który spędził dzieciństwo na Bałutach, na ulicy Drewnowskiej doskonale potrafił powiązać sprawy zakładu z ogólnołódzkimi, ogólnołódzkie z krajowymi. Sprawy, o których mówił, pochodziły z autopsji. Że się na włókiennictwie zna, to zresztą udowodnił najlepiej odkrywając w tkalni pewne braki, które nawet kontrolerom nie rzuciłyby się w oczy. Zresztą nie mówił tego, żeby wytknąć jakoś specjalnie i to w okresie, kiedy fabryka zamierza zdobyć szósty w swojej karierze sztandar przechodni dla najlepszego zakładu w całej branży, ale w aspekcie ogólniejszym, który wykracza poza „pożeranie sztandarów".

I wówczas ogłoszono wyniki głosowania. Delegatką zakładów Marchlewskiego na IV Zjazd partii została Aurelia Kędzierska. Dała się ludziom poznać już wcześniej, kiedy pracowała w radzie oddziałowej. W sprawach mieszkaniowych. Ci, co się zwracali o pomoc wiedzieli, że mieszka gorzej od nich. Ale nie skorzystała z okazji. Mieszka na podniesionym nieco poddaszu do dziś.

Jak to jest w zwyczaju delegatka podeszła do mikrofonu i podziękowała za wybór. Jedno zdanie. Ludzie trochę zdziwili się, bo nie tak dawno przemawiała na odsłonięciu pomnika Marchlewskiego. A tutaj tylko jedno zdanie. Kędzierska przyznała mi się, że nawet nie wie, co powiedziała do mikrofonu. Wie, że była wzruszona. Czy panu to wystarczy? Zdanie Aurelii Kędzierskiej zapamiętałem: obiecała nie zawieść wyboru. Myślę, że dotrzyma słowa.

JERZY DARNAL

ŁÓDZKIE XX-LECIE

AUTOSTRADA

MYŚL: Powstała chyba w 1945 roku, kiedy to zapadła decyzja o tym, że Warszawa pozostanie mimo zniszczeń stolicą Polski. Chodziło zatem o ułatwienie i skrócenie (o półtora kilometra) wyjazdu na warszawską szosę.

BUDOWA: Rozpoczęto ją w 1949 roku i do roku 1950 ułożono 8 993 m² kostki — łącznie 762 m długości. Był to stosunkowo niewielki odcinek od wiaduktu do ul. Wojska Polskiego. W latach 1951-52 ukończono odcinek od ulicy Wojska Polskiego do Narutowicza — długości ponad dwa i pół kilometra. Powierzchnia dwukierunkowej jezdni wyniosła tu 49 095 m². W roku 1961 na Strykowskiej wybudowano kosztem półtora miliona złotych nowy wiadukt.

KOSZT: Ponieważ w trakcie budowy miała miejsce wymiana waluty koszt całej inwestycji po przeliczeniu wyniósł 3 520 000 złotych.

PERSPEKTYWY: W następnej pięciolatce na rogu ul. Wojska Polskiego i Strykowskiej wybuduje się dwupoziomowe skrzyżowanie. Koszt tej inwestycji wyniesie około 16 milionów złotych.

Rys. inż. arch. LESZEK ŁUKOŚ

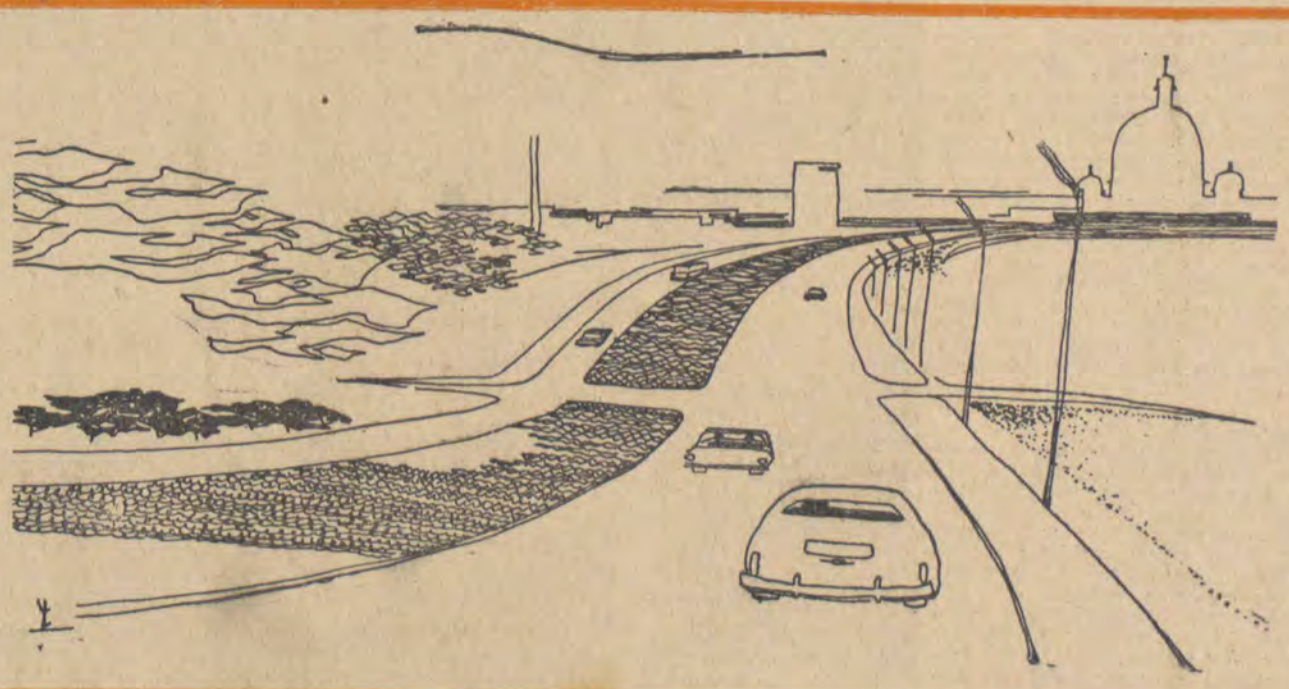

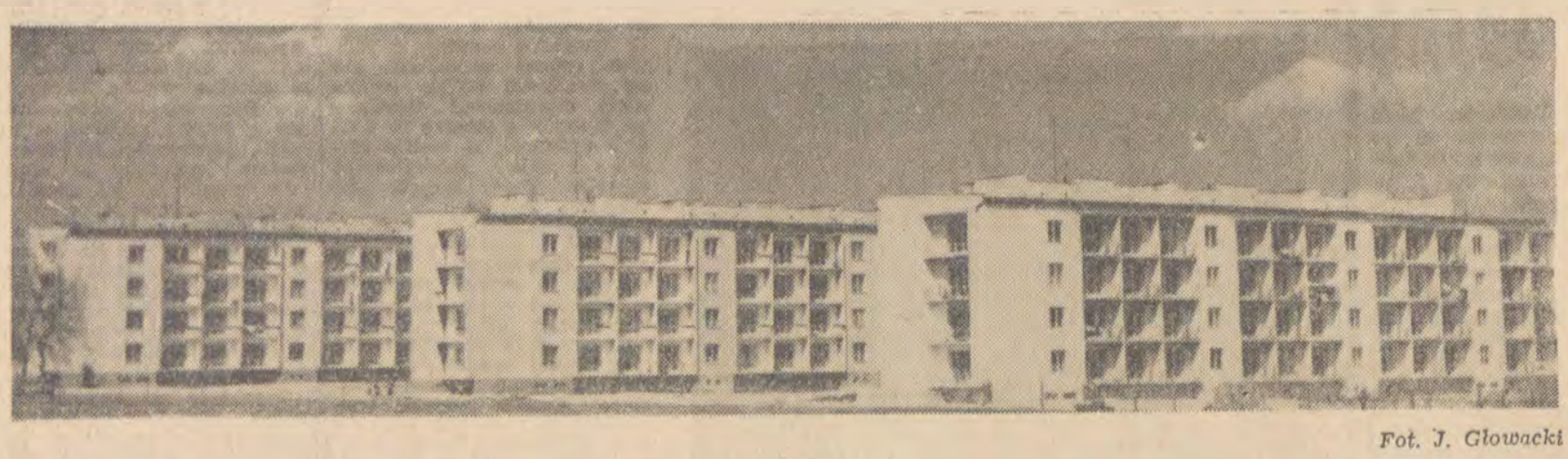

Fot. J. Głowacki

W DNIACH 6 i 7 CZERWCA ODBYŁY SIĘ W TOMASZOWIE MAZ. OGÓLNOWOJEWÓDZKIE UROCZYSTOŚCI ZWIĄZANE Z OBCHODAMI XX-LECIA PRL. DLACZEGO WŁAŚNIE W TOMASZOWIE? WYDAJE SIĘ, ŻE ZA TYM UHONOROWANIEM WSPOMNIANEGO MIASTA PRZEMAWIA KILKA RACJI. JAKIE? ODPOWIEDŹ NA TO PYTANIE PRZYNIESIE Z PEWNOŚCIĄ — CHOĆ NA PEWNO NIE WYCZERPUJĄCĄ — DRUKOWANY PONIŻEJ REPORTAŻ.

BARBARA WRZESIŃSKA

Niedaleko od Łodzi.

Umiejscowienie bohatera, w czasie i przestrzeni, ukazanie na tym tle jego zalet i przywar nie należy do zadań łatwych, tym bardziej, jeśli tym bohaterem nie jest pojedynczy człowiek lecz... miasto. Miasto z burzliwą przeszłością okresu industrializacji, z jej błogosławieństwem i przekleństwem. Błogosławieństwem — bo przynosiła pracę, przekleństwem, gdyż często, niezmiernie często, skazywała na długotrwałe cierpienia, chorobę, nędzę...

TZWS — ten skrót wyjaśnia wszystko. TZWS i Kaczka. Najpotężniejsze zakłady przemysłu chemicznego w województwie, które z jednej strony dawały utrzymanie tysiącom ludzi, z drugiej zaś były nieustannym zagrożeniem dla zdrowia, zatrudnionych w nich żywicieli rodzin. Kaczka — mikroosada, położona tuż za murem fabrycznym tego zakładu, składająca się z ubożuchnych klitek, powstających drogą ogromnych wyrzeczeń, pracujących najczęściej w TZWS robotników. Cóż, place zagrożone wyziewami przedsiębiorstwa były niezmiernie tanie. Tak więc zatrudnieni w dzisiejszych TZWS pracownicy wiązali się z fabryką nie tylko na 8 godzin pracy lecz na całe życie. Przywiązywali do tego miejsca nie tylko siebie lecz i potomstwo. Skutki? Ciężkie schorzenia układu nerwowego.

Pogodne majowe przedpołudnie. Od bezchmurnego nieba żałośnie odbijają obeschnięte kikuty drzew (nawet drzewa nie wytrzymują tak stężonych zanieczyszczeń powietrza), dając wyraźną perspektywę Kaczki. Przed dwoma laty Rada Ministrów podjęła uchwałę o jej likwidacji. Dziś pierwszy jej etap już ukończono. Ponad 70 domków rozebrano. Ich właściciele otrzymali odszkodowanie i nowoczesne mieszkanie w blokach, ale często tu jeszcze przychodzą „popłakać". Tomaszowianie żartują, że ciągną ich tam dusze posiadaczy. A może jest to po prostu zwykłe, ludzkie przyzwyczajenie do miejsc, gdzie spędzili szmat życia, gdzie przyszły na świat ich dzieci, gdzie szamotali się ze złem a cieszyli z dobrego. Ot, przychodzą, pogadają z sąsiadami, popytają kiedy kolej na ich przeprowadzkę i wracają do słonecznych, zdrowych mieszkań o wysokim standardzie wyposażenia.

A sąsiedzi czekają na drugi etap likwidacji mikroosiedla, do którego przygotowania są już w pełnym toku. Tym razem rozbiórce ulegną 74 domki. Mieszkańcy ich otrzymają pomieszczenia w blokach TZWS, wznoszonych kosztem Ministerstwa Przemysłu Chemicznego. Jest to jakby forma rekompensaty ze strony resortu na rzecz ludzi poszkodowanych przez podległą mu placówkę.

Głęboki to wyraz humanitaryzmu zachodzących zmian. Rekompensuje się straty, pomijając ich rzeczywistych sprawców. Wszak Kaczka powstała dziesiątki lat przed dojściem do głosu obecnej władzy. Któż by jednak tego dochodził. Liczą się nie pieniądze wydatkowane na odszkodowanie z tytułu wywłaszczeń i budowy nowych bloków, liczy się człowiek.

Człowiek. Wiele już dla niego zrobiono w tym najbardziej zielonym z miast województwa. Rozbudowano i zmodernizowano przemysł. Całymi latami sztab naukowców i kadry inżynieryjno-technicznej biedził się nad neutralizacją wyziewów TZWS. Poszukiwano nowych stanowisk roboczych, wznosząc nowe zakłady, placówki usługowe, ubiegając się o lokalizację dodatkowych przedsiębiorstw, organizując szeroką wytwórczość systemem chałupniczym. I wreszcie budując, budując, budując...

Powstały tu nowe osiedla przy ul. Niskiej i w Śródmieściu, osiedle TZWS, przy ul. Strzeleckiej, spółdzielcze „Wyzwolenie", „Dywan", noszące nazwę od Fabryki Dywanów i Chodników. Z funduszów Rad Narodowych wzniesiono 33 bloki, posiadające 2669 izb, w ramach tzw. budownictwa przyzakładowego powstały 22 bloki (1422 izby), zaś w ramach budownictwa spółdzielczego wybudowano już 8 bloków mieszkalnych. Łącznie w okresie ostatniego 20-lecia nakłady na budownictwo mieszkaniowe przekroczyły w Tomaszowie kwotę 200 mln zł. Cóż tu jeszcze można dodać — chyba to, że tylko w roku bieżącym Miejska Rada Narodowa uzyskała na inwestycje ponad 35 milionów zł.

Te ogromne zmiany są łatwo dostrzegalne w każdej dziedzinie życia. Imponujące liczby można notować z zakresu gospodarki komunalnej, oświaty, kultury, zdrowia. Zdrowie jest tu szczególnie cenione. Troską o rozwój placówek służby zdrowia stała się chlebem powszednim dla miejscowych władz a rzeczą oczywistą dla mieszkańców miasta. Nie, nie trzeba się nawet powoływać na międzywojenne zaniedbanie. Wystarczy zajrzeć do otwartego przed miesiącem szpitala, który śmiało mógłby być zaklasyfikowany do klinik akademickich.

Dr Witolda Dąbrowskiego — dyrektora szpitala w Tomaszowie Maz. znam już kopę lat. Zetknęłam się z nim po raz pierwszy kiedy kierował jeszcze szpitalem powiatowym w Rawie Maz. Odwiedziłam wówczas tamtejszy szpital na wiadomość o niezwykle interesującej operacji pourazowej mózgu. Mały pacjent wyszedł po niej bez większego szwanku. Tak się jakoś złożyło, że kiedy ostatnio rozmawialiśmy, dr Dąbrowski opowiedział mi o nie mniej ciekawym wypadku, który zakończył się równie szczęśliwie.

Siedmioletni Januszek — mieszkaniec Łodzi — przyjechał w odwiedziny do babci. Chłopiec wyrwał się kiedyś opiekunce i dostał się wprost pod traktor, którego koło przeszło mu przez brzuch. Dziecko przywieziono niemal w stadium agonii. Ingerencja chirurga wykazała poszarpanie wątroby. To była bardzo ciężka operacja, — stwierdza dr Dąbrowski — ale po czterech tygodniach pobytu w szpitalu mogliśmy wypisać dziecko do domu.

Szczęśliwego rezultatu operacji nie należy jednak jego zdaniem, zapisać wyłącznie na konto chirurga. Zależy ona od całego zespołu ludzi począwszy od asystentów i anestezjologa poprzez instrumentariuszki do pielęgniarek włącznie.

Dobra praca szpitala zależy nie tylko od lekarzy i średniego personelu medycznego, lecz również jego wyposażenia. Bez doskonałego aparatu do anestezjologii wspomniany wypadek musiałby się skończyć tragicznie. Na szczęście więc personel tomaszowskiego szpitala nie może się uskarżać na braki w wyposażeniu. Wzniesiony i wyposażony kosztem 64 milionów zł posiada pracownię diagnostyki lekarskiej, rentgenowską, świetnie zorganizowany punkt krwiodawstwa, aptekę zdolną produkować leki krwiozastępcze, zwierzętarnię, która będzie służyć pracom doświadczalnym i już w niedługiej przyszłości uruchomi własną pracownię anatomopatologiczną z histopatologią.

Znaczy to, że tomaszowski szpital będzie służył nie tylko 50 tysiącom mieszkańców miasta i około 100 tysiącom mieszkańców okolic lecz i celom badawczym. Zatrudnieni tu lekarze mogą zdobywać specjalizację i pisać prace naukowe bez konieczności korzystania z pracowni klinicznych. Fakt ten, pomijając funkcję służebną placówki, podnosi ogromnie jej rangę.

150-tysięczny obwód podopieczny, permanentny ostry dyżur, 1500 poważnych operacji rocznie, 400 operacji położniczych, 400 laryngologicznych, tyleż samo ortopedycznych i przy tym wszystkim duże ambicje naukowe — to już nie jest poziom szpitala prowincjonalnego. To już ambicje dużego kalibru. Patronuje im dr Dąbrowski — już drugą kadencję poseł Ziemi Łódzkiej, wieloletni członek Komisji Socjalnej KC PZPR — człowiek o nieprzeciętnej energii, którego żywotność może rozruszać największego flegmatyka. Chociaż wielu flegmatyków w Tomaszowie się nie spotyka. Wręcz przeciwnie.

* * *

Znajomość przedstawicieli władz Tomaszowa, jego działaczy i przeciętnych mieszkańców wykazuje, że niezwykłą energię i wiele cennej inicjatywy nietrudno tu wyzwolić. Świadczy o tym, nie mający równego w województwie rozmach czynów społecznych. Tomaszowianie kochają swoje miasto i rozumieją dobrodziejstwa zmian jakie zaszły tu w ciągu ostatniego dwudziestolecia, skoro ich czyny społeczne i produkcyjne przyszło mierzyć w roku bieżącym kwotą 102 milionów zł.

Gdzie spotkacie takie miasto, w którym dzień w dzień od dłuższego już czasu wychodzi do prac społecznych po półtora tysiąca osób? Spośród 51 tysięcy jego mieszkańców ponad 22 tysiące posiada książeczki pracy społecznej, do których wpisuje się liczbę przepracowanych bezinteresownie godzin. W ramach tych godzin wybudowano muszlę koncertową, amfiteatr, fontanny, kawiarenki, uporządkowano park, wyszlakowano ulice, urządzono bulwary nad Wolbórką, ułożono nad rzekami wały ochronne, posadzono tysiące drzew i krzewów.

To już nie jest inicjatywa działaczy i aktywu, to już spontaniczny czyn większości społeczeństwa. Rugowało to dwudziestolecie nie tylko krzywdy i zaniedbanie, rugowało i przeżytki tkwiące w ludziach, wyrównując szalę między **własnym a wspólnym.**

„Energia" Fot. K. Kasper

„Kurjer Łódzki" — I-szy kwartał 1934 r.

WYSTAWA WYNALAZKÓW W ŁODZI

Powstałe w Łodzi Towarzystwo Popierania Twórczości Wynalazców Polskich rozwija ożywioną działalność. Wg danych jakie otrzymał Zarząd naszego T-wa z Urzędu Patentowego, około 50.000 wynalazków polskich mimo ich zarejestrowania i uzyskania patentów nie jest użytkowanych. W styczniu (1934 r.) urządza się więc w Łodzi wystawę wszystkich wynalazków nieużytkowanych. Pewna ilość wynalazków dotyczy i systemu produkcji włókienniczej, poprawy stanu bezpieczeństwa pracy itd.

OBYWATELSKI CZYN KOMINIARZY ŁÓDZKICH

Korporacja Przemysłu Kominiarskiego przekazała na rzecz najbiedniejszych 500 zł. (Była to kwota, którą miano pokryć koszty związane z zaproszeniem delegatów poszczególnych cechów na uroczystość poświęcenia sztandaru kominiarskiego, z delegatów zrezygnowano).

PRACE POSZUKIWANE

Złożę kaucję do 1.500 zł za otrzymanie posady kasjera, inkasenta lub biuralisty itp. Wiadomość Kopernika 10 m. 6.

„PRZEDWIOŚNIE" PRZY ŻEROMSKIEGO

Łódzki kinoteatr powiadamia: Noworoczny program to „Szpieg w masce" czyli romans miłosny artystki-szpiega, w roli głównej Hanka Ordonówna. Następny program „Pieśń nad pieśniami", w roli głównej Marlena Dietrich.

DZIEŃ STRAJKU W ŁODZI

Robotnicy w większości nie stanęli do pracy. Związki przygotowały memoriał do władz w sprawie umniejszenia zdobyczy socjalnych warstw pracujących. Delegaci domagają się zarządzenia wyborów do Ubezpieczalni Społecznej w Łodzi i zerwania z „systemem komisarzy rządowych i oddania władzy w ręce ubezpieczonych. Obok Łodzi strajkowano również w Zgierzu, Rudzie Pabianickiej i Pabianicach.

PRZEMYSŁ ŁÓDZKI

Nie ma w Sowietach organizacji eksportowej. Olbrzymi ten brak wymaga szybkiego usunięcia. Przeciętny obywatel nie może sobie wyobrazić, aby Łódź, która przed wojną (1914 r.) posiadała armię agentów, badających i obsługujących rynek rosyjski, obecnie nie miała tam literalnie ani jednej organizacji, ani nawet jednego człowieka-fachowca, pracującego nad wprowadzeniem wyrobów łódzkich na obszerny i chłonny rynek sowiecki.

CIEŃ NA ULICY PIOTRKOWSKIEJ...

„Pałac Sportowy" przy ul. Piotrkowskiej podał ostatnio urbi et orbi, że „dzieciom doń wstęp wzbroniony". Łodzianie, przecież sama nazwa „Pałac Sportowy" wzbudza homeryczny śmiech. Od kiedyż to gra w bilard jest sportem? Albo ruletka? Albo wątpliwej uczciwości gra w kości? Mamy wrażenie, że policja miałaby tam wdzięczne pole do działania. Kiedyż ach kiedyż, łodzianie opamiętają się i dojdą do przekonania, że metr dobrego madapolanu więcej jest wart od babsztyla bez nóg, a czysto jedwabny krawat ze sztucznego jedwabiu lepiej się prezentuje od dwóch zrośniętych sensacyjnie okrzyczanych potworków. Wtedy ulica Piotrkowska wróci do dawnej świetności, mocno nadwerężonej objawami powszechnego pauperyzmu.

W ŁÓDZKIM ESPERANTO

W salonach Polskiej YMCA, Piotrkowska 86, II p. fr. będzie wykład prof. Stefana Borawskiego pt. „Walka o język międzynarodowy w dziejach ludzkości". Gości powita i zagai p. B. Kmiecik. Deklamacje esperanckie wykonają — duet pt. „Pałace" — Jadzia i Danusia Chwastniewskie.

TEATR POPULARNY DAJE

Dziś (24. II. 1934 r.) tchnącą szampańskim humorem komedię Bachwitza pt. „Miłośnica z ekspressu" w reż. Opalińskiego.

Jutro (dla milusińskich) odegrana będzie bajka wesoła pt. „W grobie smoka". Na scenie żywy smok, ziejący ogniem. Bohaterski Antoś z Bałut zabija smoka.

W Sali Geyera — pełna przezabawnych sytuacji operetka pt. „Grzeszna noc" w reż. Zieciakiewicza. Grają: Kamińska, Majchrzak-Busiakiewicz Ondolska, Szczęsna, Bolesławski, Czerwiński, Suwalski, Zieciakiewicz.

Przypomniał (ZETKO)

Fot. J.. Korpal

LECH UTRACKI

MTP – dzień minus trzeci

Czwartek, 4 czerwca 1964 roku. Poznań. Nowo poszerzona ulica Głogowska od wczesnego ranka narasta ruchem. Przechodnie spieszący do pracy czy czekający wieczorem na tramwaj, ciekawie zaglądają na przylegający teren targowy.

Jest dzień „minus trzeci" do otwarcia XXXIII Międzynarodowych Targów Poznańskich. W tym roku Węgry, W. Brytania i USA obchodzą uroczystości 25 uczestnictwa w MTP, a Bułgaria i Brazylia wystawiają po raz piętnasty. W Targach uczestniczyć będzie 58 krajów, w tym 25 europejskich, należących do RWPG, Wspólnego Rynku i Europejskiej Strefy Wolnego Handlu oraz po 10 krajów afrykańskich, amerykańskich, azjatyckich i 3 z Oceanii; będą uczestniczyć tak egzotyczne kraje jak Chile, Nowa Zelandia czy Uganda.

Jest dzień „minus trzeci" i oddano już do użytku supernowoczesny hotel „Orbisu" „Merkury", przeprowadzono kosmetykę hali dworcowej, jednej z najnowocześniejszych w Polsce, zakończono w końcu remont przytargowej restauracji „Adrią" i kilku innych lokali. Reporter „Gazety Poznańskiej" pisze: „Tempo przygotowań na MTP osiągnęło swój szczytowy punkt".

Kiedy wchodzę na teren Targów, jest dziewiąta rano. Jest słońce, dużo zieleni, pachnąco od kwitnących akacji — wspaniała wiosna. Przez wejście służbowe przy ul. Głogowskiej płynie różnojęzyczny tłum migocący kartami wstępu przed oczami znudzonych strażników.

Jestem zdumiony brakiem oczekiwanej atmosfery zdenerwowania. Tu i tam robotnicy spokojnie palą papierosy, posilają się, lub wręcz rozłożeni na ławkach zdają się w pełni doceniać wartość, jaką dla skołatanych nerwów współczesnego człowieka ma chwila całkowitego odprężenia w wiosenny, słoneczny poranek. Przed stoiskiem reklamującym szybowce stoi grupka ludzi – dwóch milicjantów z ogromnymi, wyładowanymi jak zwykle paszportówkami (czy nie wygodniej byłoby jednak nosić tornistry?), porozpinany strażak, kilka postaci w fartuchach. Kontemplują fragment wielosegmentowego fotogramu przedstawiającego szybowce na tle chmur. Fragment składa się z dwu odwrotnie naklejonych części. Trzeba je oderwać czy nie? A może powinny tak zostać?

Czy widzieliście spawacza trzymającego maskę w jednej ręce, elektrodę w drugiej i papierosa w zębach? Ja widziałem – na Targach.

Przed polskim pawilonem elektroniki siedzi w słońcu grupka robotników. Nawet nie rozmawiają: siedzą, patrzą. Obok nich dwóch innych szamocze się z większą od nich ciężką paką. Prawdopodobnie tak ma być, prawdopodobnie tego wymaga naukowy podział pracy.

Naczelny powiedział: „Jedź pan do Poznania i podłap pan coś takiego, no pan rozumie, z ikrą, interesującego,..." Powiedziałem: „OK" i teraz wałęsając się, skacząc przez stosy opakowań, śmieci, szczątków eksponatów, przesuwając się pod drabinami malarzy szukam czym by Cię tu, Czytelniku, przykuć. „Może z kimś o czymś porozmawiać?"

Niepewny wchodzę do pawilonu polskiej chemii. Ładna, prosta hala, zastawiona niewielkimi kwadratami niskich podiów, na których leżą nierozpakowane eksponaty oraz słoiki, do których zostaną one wsypane czy wlane. Podchodzę do rozmawiającego z miłą brunetką, roześmianego starszego, łysego pana. Dziewczyna właśnie odeszła.

— Pan przyjdzie jutro! Tu dziś się pracuje! Tu dziś jest pełna mobilizacja! — daję słowo powiedział: „pełna mobilizacja" — Tu nie udziela się żadnych informacji!

Naprzeciwko pawilon maszyn włókienniczych. Monterzy kończą pracę nad ustawianiem, pracownicy budowlani zakładają instalację oświetleniową w małych pomieszczeniach biur handlowych.

— Panie inżynierze — pytam inż. Ceglińskiego ze Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych z Łodzi — co wystawiacie w tym roku, jakich spodziewacie się kontraktów?

— Wystawiamy jedynie maszyny przędzalnicze, jak w ubiegłym tkackie. Mamy „napiętych" kilka umów z Egiptem, Tunezją, ZSRR, CSRS, Węgrami, Jugosławią, Indią, które powinny być sfinalizowane na Targach. Są tu maszyny Wefamy z Bielska, Wifamy z Łodzi, Majed z Łodzi i Falubaz z Zielonej Góry. Mamy tu również jeden eksponat historyczny — kopię pierwszej angielskiej maszyny przędzalniczej z 1796 roku, zrekonstruowanej na podstawie ryciny w Muzeum Włókienniczym w Łodzi.

— Czy można jakoś przewidzieć ekonomiczne efekty tegorocznej ekspozycji?

— W ubiegłym roku mieliśmy obrotu 47 mln. złotych dewizowych. Plan tegoroczny przewiduje 55 milionów. W ubiegłym roku zawarliśmy na MTP kontraktów na sumę 15 mln. złotych dewizowych, a w tym roku szacujemy na około 10 mln. Oczywiście nie można tego przyjąć za miarę efektów ekonomicznych. Targi służą głównie spotkaniom kupców z różnych krajów, poznaniu nowych modeli, zawarciu nowych kontaktów po których dopiero później przychodzą ewentualne kontrakty. Widzi, pan, maszyny włókiennicze to nie jabłka. Nim je ktoś kupi bywają oglądane wielokrotnie.

— Czy maszyny będą w ruchu podczas Targów?

— Tak. Wszystkie będą załadowane surowcem i z wyjątkiem dwu mocno kurzących — tu nie mamy odpowiednich wyciągów — będą pracowały.

— Czy jest pan zadowolony z dotychczasowego zaawansowania prac?

— Ależ tak. Wszystkie maszyny są na chodzie. Pozostaje załadować je surowcem, wykończyć prace porządkowe, zawiesić fotografie. CAF dostarczył już dwa samochody fotogramów lecz nasze jeszcze nie nadeszły. W tym roku wszystko przebiega znacznie sprawniej; znacznie wcześniej rozpoczęto prace budowlane, wcześniej mogliśmy wejść do hali. Maszyny ustawiamy od dwóch tygodni. Korzystaliśmy z transportu PKS. Jest bardzo dobry. Pracujemy po osiem godzin dziennie z tym, że prawdopodobnie w sobotę sprzątacze będą musieli posiedzieć 12-14 godzin.

— Czy ma pan jakieś kłopoty, krytyczne uwagi?

— W zasadzie nie. Jest lepiej niż było. Jedyna uwaga: monterzy i technicy robiący ekspozycję też muszą jeść. Kioski barowe otwarto bardzo późno i w niedostatecznej ilości; bar samoobsługowy tydzień temu. To jest stanowczo zbyt późno. Dieta wynosi 21 zł. a sam obiad na mieście tyle kosztuje. Przecież w zakładach pracy są stołówki i można zjeść za 10 zł. Dlaczego nie można tego zrobić tutaj?

Dlaczego? Nie wiem, i jakkolwiek ten sam zarzut słyszałem we wszystkich pawilonach, zarówno polskich jak i zagranicznych nikt nie potrafił nań odpowiedzieć. Mało tego, sam widziałem jak dopiero w czwartek zaopatrywano kioski „Ruchu" i to na przykład w ten sposób, że do wszystkich dostarczono po kilka kartonów filmów 6x9 lecz ani jednego filmu maloobrazkowego.

— Czym mogę... — zapytał starszy człowiek w szarym ubraniu dozorcy na progu pawilonu kanadyjskiego.

— Chciałem zobaczyć jak idą przygotowania. Jestem z prasy.

— O, prasa! Prosimy, prosimy. Niech pan patrzy i pisze. To dla nas tylko...

— Advertisement — podrzuciłem — reklama.

— Tak reklama. Widzi pan, nasza ekspozycja będzie związana z lasem. — Wziął mnie pod ramię i prowadził wokół sali — tu drwal sprzed stu lat, a tu w dzisiejszym stroju. Tu pokazane jak dzieli się pień by najlepiej wykorzystać drewno... To nasz kierownik. John. H's journalist from Lodz.

Młody, szczupły człowiek zajęty był zbrojeniem ręcznych pił łańcuchowych. Spojrzał na mnie ponuro spod oka i rzekł:

— Miło mi pana poznać — uważając sprawę za załatwioną.

— Jak znasz pan angielski — szarpnął mnie za łokieć „cicerone" to pogadaj pan z nim. Będzie się cieszył.

— Czemu ograniczacie się jedynie do spraw lasu i drewna? — nieszczęśliwie rozpocząłem rozmowę.

— Dostaliśmy tak mało powierzchni, że nic więcej nie wejdzie.

— Jacy wystawcy przysyłają swe eksponaty na Targi? Czy spodziewa się pan jakichś kontraktów?

— Mój rząd prosi, prosił, prywatnych producentów by zechcieli coś tu przysłać. Od trzech lat nie mieliśmy żadnego kontraktu i teraz będzie to samo. — Stanowczo nie wyglądało na to, że sprawiam mu przyjemność.

— Wynika z tego, że ekspozycja ma charakter głównie propagandowy. Widocznie się to opłaca.

— Mój rząd to „opłaca". Przez sześć lat mamy ten budyneczek, wystawiamy za każdym razem co innego. Teraz las...

Uciekłem. Uciekłem z deszczu pod rynnę. — Do pawilonu USA. Po wielu perypetiach odszukałem dyrektora.

— Proszę, niech pan idzie za mną. Wystawiamy: „Chemia w życiu codziennym", maszyny gospodarstwa domowego, maszyny do robienia płatków ziemniaczanych, kserografy, „chemia w modzie i kosmetyce", portret i orędzie prezydenta, tak to wszystko, do widzenia, dziękuję, tam na wolnym powietrzu jest dalsza część ekspozycji.

I czym Cię tu przykuwać, Czytelniku?

Co prawda Targi będą dostępne dla szarej publiczności jedynie od 13 do 19-tej, tym niemniej jeśli dzień będzie upalny, a zwiedzający zbyt chciwy wiedzy to i tak po pewnym czasie okaże się konieczna wizyta u lekarza. A na Targach wizyta u lekarza może być bardzo atrakcyjna...

Pani doktor Bronikowska jest bardzo przystojną blondynką o włosach upiętych w wysoki kok. Kiedy przychodzę do ambulatorium słyszę:

— ... wczoraj mam pani doktor rozstrój żołądka. Proszę... — wielki i tłusty facet ze zbolałą miną znika za drzwiami gabinetu.

— Już teraz mam regularnie 50 do 60 pacjentów dziennie — słyszę w pięć minut później — nazywam to „usługami grzecznościowymi". Przychodzą całe rodziny z zadawnionymi dolegliwościami i korzystają z okazji. Przeważnie cudzoziemcy. Są nieskończenie zdumieni, że nie muszą płacić. Czasami mam wizyty domowe u naszych gości targowych, np. u Niemca z NRF, który nb. miał wypadek poza terenem Targów. Nie wierzył, że to za darmo. Są też wypadki przy pracy — skaleczenia, przebicia nóg na gwoździach, których tu wszędzie pełno... Ludzie już teraz w niektórych pawilonach pracują po 12-14 godzin i są zmęczeni. Ambulatorium składa się z gabinetu lekarskiego, zabiegowego oraz pokoiku w którym chory może odpocząć. Mamy, to znaczy ja z kolegą, z którym na zmianę pełnimy dyżury, dwie pielęgniarki, sprzątaczkę, do dyspozycji karetkę z noszowym i kierowcą, doskonale wyposażoną aptekę.

Pawilon radziecki. W hali dziwnie cicho, i w tej ciszy rozbrzmiewają to pojedyńcze, to brane akordami tony strojonego fortepianu. Praca stroiciela ma w sobie specjalny urok obrzędu, celebracji. Nie wiem czemu stroicielem zazwyczaj jest staruszek, jak ten tu zgarbiony, łysy, zasłuchany. Niedaleko dwóch techników dostraja telewizor. Ekspozycja jest gotowa. Przejścia wysłano dywanami. Tu i ówdzie przesuwają się cicho postacie w granatowych fartuchach. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

— Direktor Nikoła, Siergiejewicz Iwanow tiepier abiedujet. — uprzejmie odparł mężczyzna o gruzińskiej urodzie. Cóż, chodźmy więc na obiad.

Obszerna sala baru samoobsługowego. Dwa podejścia do lady dań gorących, napoje, kawa, herbata, piwo, słodycze. W maleńkim zapleczu spotykam kierowniczkę p. Gelak.

— Mamy 250 miejsc siedzących. W ubiegłym roku w ciągu dwu tygodni utargowałam milion zł. Aktualnie wydajemy około 15 tys. posiłków dziennie, w okresie Targów ponad 20 tys. W ubiegłym roku sprzedałam ponad 20 ton bigosu lecz w tym roku zakazano sprzedaży na terenie Targów. Taka dobra, nie psująca się potrawa...

— Ilu ma pani pracowników?

— W czasie Targów będzie 40. Więcej nie ma się gdzie zmieścić. Za małe zaplecze. Kłopoty? Nie ma ani urządzenia do toczenia piwa z piwnic, ani windy, która by pomieściła duże beczki.

Trudno opisać wszystkie spotkania owego „minus trzeciego" dnia MTP. Jedno z najmilszych miało miejsce w pawilonie bułgarskim. Również i tu prace zostały w zasadzie zakończone. Jeszcze plastycy muskają tu i ówdzie, sprzątaczki polerują wielkie izolatory wysokiego napięcia....

— Przede wszystkim muszę jak najgoręcej podziękować opiekującym się naszą delegacją Zakładom Maszyn Rolniczych w Poznaniu za okazywaną serdeczność i pomoc — mówi dyrektor pawilonu p. Vassil Tachkov. Siedzimy w małym, spokojnym pokoiku wraz z radcą handlowym ambasady bułgarskiej, sekretarzem prasowym i tłumaczem — uroczą dziewczyną z „Balcan Touristu". — Codziennie przyjeżdża inżynier z Zakładów i wraz z naszymi fachowcami radzą, montują, pomagają. Naprawdę pierwszy raz wszystko idzie tak idealnie.

— A jak wyglądają perspektywy handlowe?

— W ubiegłym roku poszło nam doskonale — odpowiada radca handlowy — z samą Polską zawarliśmy umów na 4,5 mln. rubli. W roku bieżącym przed Targami wysłaliśmy prospekty reklamowe do wszystkich ewentualnych klientów i spodziewamy się transakcji z kupcami firm zachodnich, afrykańskich, Bliskiego Wschodu oraz naszego obozu.

— Niech pan napisze — dorzuca czarnula — że Bułgaria nie tylko eksportuje olejek różany. Produkujemy i sprzedajemy sprzęt elektrotechniczny, wciągi elektryczne, aparaturę medyczną, wózki akumulatorowe, silniki, pompy, maszyny włókiennicze itd. Sprzedajemy więcej kabli i tytoniu niż powinniśmy, z uwagi na potrzeby rynku wewnętrznego. Ale cóż, dewizy.

— Polska stoi na czwartym miejscu w naszej wymianie towarowej — dodaje kolega dziennikarz — staramy się eksportować coraz więcej maszyn i urządzeń zamiast konserw i soków. W tym roku chcemy również obudzić większe zainteresowanie turystów naszym krajem. Zapraszamy do Sofii. Pojedziemy nad Czarne Morze, zwiedzimy stare winiarnie...

— Zapraszamy serdecznie. Jeśli przyjedzie pan przez „Balcan Tourist" to może się zobaczymy — kusi dziewczyna.

Na teren Targów spływa noc. O dziesiątej większość pawilonów jest już ciemna i cicha. W austriackim zawieszono już flagi i fotogramy i kilkunastu techników siedzi dokoła pustej butelki po „czystej", obejmując się i przekrzykując.

W Komitecie Branżowym Przemysłu Ciężkiego spotykam się z dyrektorem Malanto.

— Wszystkie eksponaty są już na miejscu i w zasadzie są już zmontowane. Prowadzimy prace wykończeniowe. Montaż trwa od sześciu tygodni, a dopiero od dziesięciu dni można coś dostać do zjedzenia na Targach. Chodziliśmy całymi dniami głodni bo nie było czasu wychodzić na miasto. Przecież nie tylko goście targowi są ważni. Monterzy i wystawcy zagraniczni również przyjeżdżają ok. 6 tygodni przed otwarciem i oni również kształtują opinię o nas. Inny mankament to brak prospektów reklamowych. Tu wciąż nie możemy sprostać standardowi międzynarodowemu. Dochodzi do takich absurdów, że potrafimy, jak w konkretnym przypadku cukrowni dla Maroka wyprodukować i oddać do użytku całą fabrykę w 16 miesięcy od podpisania kontraktu, a wydrukowanie prospektu zajmuje Agpolowi półtora roku; prospekt liczył 38 stron! Obecnie cykl produkcyjny naszego przemysłu trwa 3—6 miesięcy i reklama musi być znacznie szybsza i znacznie lepsza technicznie jeśli ma być skuteczna.

— Kiedy ukończycie urządzanie ekspozycji?

— Jutro o godz. 21. W sobotę przychodzę w białej koszuli. Zostanie tylko malowanie podłóg i można otwierać bramy.

Noc. Jedynie w hali MPL światło i gwar. Radca ministra p. Maria Urbanowiczowa złożyła tutaj dziś wizytę. Stwierdziła, że manekiny mają głowy częściowo poprzesłaniane pasmami muślinu, na które naszyto napisy i znaki. Projektant hali nie narysował perspektywy. Zrobił jedynie rzuty pustej sali nie wdając się w szczegóły. Pani radca kazała rozebrać podia i obniżyć. Nic to, że już od wtorku pracowicie upinano na nich materiały układano drobne szczegóły galanterii, stawiano manekiny. Nic to, że teraz ponownie trzeba będzie wszystko prasować i po kawałeczku powtarzać całą robotę. Decyzja była w zasadzie słuszna, ale czy pani radca nie wybrała się jednak zbyt późno na inspekcję. Senne dziewczęta walczą z manekinami, snują się pomęczone. Cholerna robota.

Noc. Minął dzień „minus trzeci", dzień „pełnej mobilizacji", dzień „szczytowego napięcia". Jest spokojnie i pusto. Hale ciche, zaplombowane, jak by oczekują na tłum, który za dwa dni wedrze się do ich wnętrza.

Dobrych targów, przyjaciele!

OPOWIADANIA Tadeusza GICGIERA

ZAWSZE O ZMIERZCHU

Jadłem teraz te zmarznięte kartofle i czułem mdłą słodycz, taką samą jak wtedy w tych rozległych polach o zmierzchu, kiedy ich ciężar dławił mnie za gardło. Krztusiłem się każdym kęsem, lecz jadłem, bo byłem głodny.

Wyruszyliśmy z ojcem w drogę wczesnym rankiem marcowej niedzieli, wziąwszy ze sobą dwa brezentowe plecaki. W domu nie było już ani jednego kartofla, chleb z pięciu kartek wystarczał tylko dla mnie i dla ojca do pracy, trzeba było poszukać kartofli na wsi, i to jakiejś odleglejszej, bo na okolicznych wsiach dawno już ich zabrakło.

Pierwszy wagon podmiejskiego tramwaju, ten „nur für deutsche" był pusty, za to drugi i trzeci zapełniły się bardzo szybko, otoczyły nas grube, sfatygowane przyodziewki, w jakie ubierano się na taką drogę, kobiety, mężczyźni, dzieci, każde miało jakiś woreczek, koszyczek, plecak. Wagon nabierał rozpędu, gwar się wzmagał, było prawie wesoło.

Ojciec wdał się w rozmowę ze starszym mężczyzną w jesionce mocno przetartej przy guzikach i kieszeniach. Siedziałem wciśnięty w koniec wagonu, wyizolowany z otoczenia dzięki tłokowi, czułem się dobrze. Do rzeczywistości przywróciły mnie w pewnej chwili słowa mężczyzny.

— Panie — mówił mężczyzna — to prawdziwy pies, gorszy od żandarma. I pomyśleć, że to Polak, zaprzaniec. Odbiera wszystko, pewnie to mu się opłaca.

Zacząłem przysłuchiwać się rozmowie, dotyczyła ona nocnego stróża z Lutomierska. Oczywiście, będziemy wracać przez Lutomiersk, innej możliwości nie ma. To jednak daleka perspektywa, wkrótce o niej zapomniałem.

Tramwaj zakręcił i przystanął. Słońce wzniosło się już nad parterowe domki i musiało przygrzewać, bo teraz widać było wyraźnie, jak śnieg spływa dziesiątkami waziutkich i krętych strumyczków do przydrożnego rowu.

Weszliśmy z gromadą podróżnych na szosę, rozprężyłem mięśnie, łyknąłem świeżego powietrza, raźno podjąłem marsz. Część podróżnych została za nami, inni, widocznie obeznani już z terenem i jego mieszkańcami, skręcili w boczne dróżki i ścieżki, wkrótce zostaliśmy z ojcem sami na szosie. Mijaliśmy ludzi pojedynczych, grupki ludzi, którzy w workach i plecakach nieśli już kartofle do tramwaju, zastanawiałem się, kiedy oni właściwie wyruszyli z miasta, może wczoraj, może dziś bardzo rano, wszyscy dopytywali się, czy po drodze nie widać żandarmów.

A potem zaczęła się wędrówka po chałupach, odsyłano nas z jednej chałupy do drugiej, od sąsiada do sąsiada. I wszędzie ta sama mrukliwa odpowiedź: kartofli nie ma. Kto zgadnie, ile w niej było prawdy, a ile obawy o własny żołądek, cóż zresztą wiedzieliśmy o tutejszych wojennych i przedwojennych przednówkach, kogo mieliśmy winić za tę odpowiedź?

To było wiele kilometrów od tramwaju, na wiejskiej rozkisłej drodze. Przedwiośnie, które urzekło mnie rano, teraz zwróciło się przeciwko mnie. Nogi zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa. Przed nami stało jeszcze kilka milczących, jakby wymarłych chałup. Postanowiliśmy iść w ich kierunku. Dalej rozciągały się już tylko nagie pola, od których wiało chłodem i absolutną obojętnością.

Usiadłem pod sterta nadgniłej słomy, a ojciec zaczął dobijać się do pierwszej chałupy. Wszedł do niej wreszcie i długo nie wychodził.

Wreszcie wyszedł, skinął na mnie ręką, gdy podszedłem do niego, zobaczyłem dwa plecaki wypełnione pękato kartoflami. Po chwili jeden z nich, ten trochę mniejszy, miałem na plecach, pomogłem założyć ojcu drugi i wyruszyliśmy w powrotną drogę.

Zapadał zmrok, błoto zaczęło gęstnieć od przymrozku, potem stało się elastyczne jak guma. Na którymś kilometrze stwierdziłem ze zdumieniem, że moje nogi są także z gumy. Ramiączka plecaka coraz bardziej podchodziły mi pod gardło i wtedy właśnie poczułem po raz pierwszy ten słodkawy smak na języku, mdła słodycz, która, jak się wydawało, weszła we mnie przez uchylone usta z tych zmierzchających pól. Taką mdłą słodycz czuję odtąd zawsze o zmierzchu.

Zostałem w tyle. Po jakimś czasie ojciec obejrzał się za siebie, zrzucił swój plecak na ziemię, wrócił po mnie i pomógł mi nieść mój ciężar. Gdy zrównaliśmy się z jego plecakiem, spostrzegłem, że twarz ojca jest czerwono-sina. Poszliśmy dalej, opanowało mnie odrętwienie, stałem się na wszystko obojętny.

W którejś wiosce ojciec zapytał chłopa, jak daleko do tramwaju. Ano, ze cztery kilometry. Ostatni tramwaj odjeżdżał w kierunku Łodzi o wpół do ósmej, to znaczy za kilka minut. Postanowiliśmy przenocować na wsi.

Sołtys, Niemiec, wydał nam zezwolenie na nocleg, bez takiego zezwolenia nikt by nas nie przyjął do siebie. Spaliśmy z ojcem w kuchni na żelaznym łóżku, na którego spodzie gospodyni rozrzuciła wiązkę słomy, przykryci zatęchłym kocem i swymi paltami.

Długo nie mogłem zasnąć w dusznej izbie i na tym posłaniu, bolały mnie plecy, czułem odgniecionego na nich każdego ziemniaka. Przewracałem się na bok, kurczyłem nogi, wyprostowywałem je z powrotem. Któryś z tych zabiegów poskutkował.

Gdy obudziłem się, ojciec był już gotowy do drogi. Gospodyni dała nam po kromce chleba i kubku herbaty, piliśmy parząc sobie usta z pośpiechu. Byle zdążyć do tramwaju, nim się rozwidni.

Na dworze świecił jeszcze księżyc, przeglądając się w zamarzniętych kałużkach. Lód chrzęścił. Weszliśmy w ciemną uśpioną uliczkę Lutomierską, starając się iść jak najciszej.

I nagle ten blask ręcznej latarki. Nigdy nie przypuszczałem, że światło może uderzyć jak obuchem. Nie widziałem człowieka, który na nas świecił, zobaczyłem mężczyznę z tramwaju, z którym rozmawiał ojciec. Ach, więc to jest stróż nocny z Lutomierska. Na jego brzuchu zwisała trąbka w kształcie rogu.

Doszedł mnie zachrypnięty głos:

— Co jest w tych workach?

— Kartofle — odpowiedzieliśmy razem.

Stróż obmacał nasze plecaki, spojrzał na zamknięte jeszcze drzwi i okiennice posterunku żandarmerii, zgasił latarkę i kazał nam iść dalej. A sam zanurzył się z powrotem w ciemnościach.

MIECZONOSZE

Czerwone jaskółki akwarium — tak mógłbym wtedy o nich mówić. Mógłbym zresztą znacznie piękniej, mając na względzie ich bystrość i lotność, zwłaszcza samce, te małe śmigłe torpedy sterowane spiczastym ogonem, a przecież wystarczy powiedzieć, że w tamtych latach zastępowały mi wszystko: szkołę, kolegów, wolny czas, wakacje nad morzem.

Od czternastego roku pracowałem w fabryce, jeździłem co rano na drugi kraniec miasta, na sobie miałem przetarte paletko, w kieszeni dwie kromki chleba posmarowane marmoladą z buraków. Do domu wracałem wieczorem, pamiętam dobrze zimowe powroty lodowatym, rozklekotanym tramwajem, tramwaj był zatłoczony o tej porze, nikt nie narzekał wtedy na tłok w tramwaju. Tak mijały dni, miesiące, lata, w czasie tych pierwszych lat wojny zrobiłem jedną wycieczkę za miasto, gdy komisarz fabryki powierzył mi zawiezienie do Pabianic tygodniówki dla robotników, i jeden raz pływałem kajakiem po stawie, który w okolicznej gwarze nosił miano łódzkiego „Bałtyku". Ach, zapamiętałem jeszcze jedno z tamtych czasów, nazwisko kolegi mego kuzyna, ten jego kolega nazywał się Nadwodny.

Akwarium z mieczonoszami stało na kredensie obok kuchni, tu panowało względne ciepło i zimą woda nie zamarzała nawet w nocy, pod warunkiem, że okno zakryło się szczelnie kocem.

Którejś jednak zimy, a było to w wigilię Bożego Narodzenia, mieczonosze zamarzły. Siedzieliśmy w pokoju przy skromnej kolacji wigilijnej, stół przysunięty był do żelaznego piecyka, jego rury parowały ciepłem i zapachem świeżej sekatywy, to srebro na rurach przypominało mi choinkowe świecidełka, posrebrzane szyszki i orzechy. Byłem bardzo przejęty, pierwszy raz z własnych zapracowanych pieniędzy kupiłem rodzicom i rodzeństwu drobne upominki, miałem je właśnie wręczyć za chwilę. Poszedłem po te drobiazgi do kuchni i wtedy zobaczyłem, że mieczonosze zamarzły. Leżały do góry brzuszkami na dnie akwarium, były białe i napuchnięte, dwa czy trzy trzepotały się w roślinach jakby chcąc strząsnąć z siebie motający je muślin śmierci.

Zdjąłem akwarium z kredensu i zaniosłem je do pokoju, postawiłem na stołku przy kanonce, stołek obstąpiła cała rodzina, ja poszedłem do kąta i nie odezwałem się ani słowem.

Wróciłem tam dopiero wtedy, gdy ojciec zawołał nagle, że mieczonosze ożyły. Kilka śmigało już po akwarium, woda prześwietlona była płomieniem padającym z piecyka, w tym blasku mieczonosze nabierały znów barwy rubinu. Zapomnieliśmy wszyscy, że stygnie kolacja wigilijna, nadchodzące święta Bożego Narodzenia pomieszały nam się z Wielkanocą, matka powiedziała coś o zmartwychwstaniu. To nie chodziło już o szkołę, czy wakacje, to był symbol kraju, okowy śmierci i mrozu, które pękły tu przy żelaznym piecyku, zrównały się w naszym przeświadczeniu z okowami niewoli.

CZŁOWIEK POD PŁACHTĄ

Spóźniłem się parę minut, było już na pewno po siódmej, a fabryczne mury stały milczące w ciemnościach jakby przyczaiwszy się w głębokim śnie. Zaskoczyła mnie ta cisza, wchodziłem zawsze na salę, która dygotała miarowym łomotem, ten łomot przenikał każdą tkankę mego ciała, ożywiał każdy nerw, właściwie wtedy dopiero budziłem się na dobre.

Pasy transmisji zwisały nieruchomo, na sali paliło się kilka wyblakłych żarówek, przy kantorze pod płachtą leżał człowiek.

— Właśnie myłem ręce pod kranem — mówił stary tkacz, przyjaciel majstra — kiedy usłyszałem to charczenie, coś takiego jakby ktoś zakrztusił się ością. Jak szedłem się myć, majster przystawiał drabinę do transmisji i wchodził po niej, żeby naprawić zerwany pas. Teraz drabina była pusta, majster stał między warsztatami oparty o nie oburącz, a z ust, nosa i uszu buchała mu krew. Rzuciłem się z powrotem do kranu, zmoczyłem ręcznik i przyłożyłem go majstrowi na kark. Krew przestała z niego buchać, więc wziąłem go na ręce i niosłem do kantoru. Było mi ciężko, przed kantorem poczułem, że nie zrobię ani kroku dalej. Położyłem więc majstra na ziemi, wpadłem do kantoru, złapałem sztukę materiału i podłożyłem pod jego głowę. Potem wróciłem i zacząłem dzwonić po pogotowie, ale jak przyjechali, to majster już nie żył.

To wszystko zdarzyło się wczoraj, po naszym wyjściu z fabryki. I nagle przypomniałem sobie historię z lufcikiem. Przed południem majster przyszedł do kantoru, gdzie odważaliśmy wątek i usiadł ciężko na krześle. Wyglądał bardzo źle, mówił, że miał tej nocy krwotok, jego wąsy były bardziej nastroszone niż zwykle. Był zimowy, pogodny i bezwietrzny dzień, a lufcik w szklanym dachu nad kantorem zaczął wyprawiać jakieś dziwne harce. Lubiłem majstra, więc wszedłem po drabinie i zamknąłem lufcik. Ale po chwili znów zaczęło tam w górze trzaskać. Zupełnie jakby ktoś bawił się lufcikiem, podnosił go i puszczał z powrotem.

Spojrzałem na ciało nakryte płachtą: majster jakby się poruszył. Pod płachtą rysowały się wyraźnie jego kształty, miałem świeżo w pamięci zdjęcia zjaw oglądane w książce Niemojewskiego, bardzo przejmowałem się wtedy tymi sprawami.

Zaraz majster wyjdzie spod płachty i powie mi, czym jest właściwie śmierć, którą odegrał na moich oczach. Ale ten pierwszy w mym życiu aktor śmierci leżał już teraz bez ruchu, nogi miał bezwładnie rozrzucone, parę kroków od niego zwisały z wału transmisyjnego dwa końce pasa, którego nie naprawił.

Zrobiło się już widno, lampy pogasły. Karetka z prosektorium ciągle nie nadjeżdżała, więc stary tkacz, przyjaciel majstra, wyjął z kieszeni marynarki drugie śniadanie, usiadł na beli materiału, przy tych rozrzuconych nogach i zaczął się pożywiać.

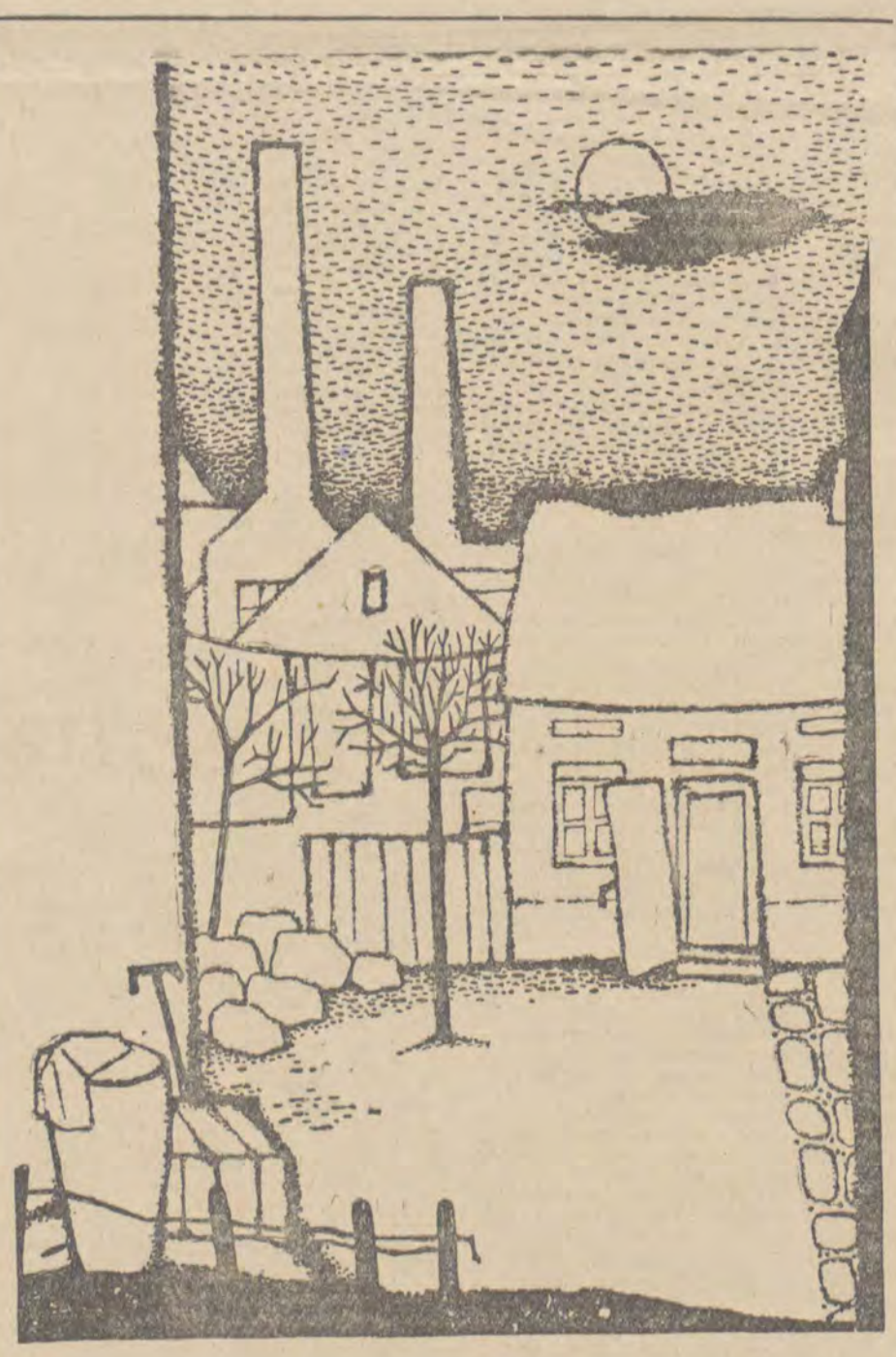

„Podwórko na przedmieściu". *Halina Kotlicka*

JAN ZYCH

* * *

Zobacz, jak wszystko się chwieje.
To zamykają rozmowę
— z bólu zadanego sobie —
cztery łzy jednakowe.

One wystarczą, by omyć
rzekę płynącą przez oczy.
I nagle się staje jak rano
pełne świeżości i rosy.

Z sercem wilgotnym wracamy
— jak rozdzieleni podróżą —
w czasy, kiedy współ-czucie
jeszcze nie było jałmużną.

* * *

„Tak sobie wyobrażam szczęście",
(zapamiętane z rozmowy).

Dniom, że nazbyt ulotne,
ciężar nadać: znaczenie.
Póki oddech nie minie,
będę czekał na ciebie.

Przyjdzie czas i błękitne
okno otworzy,
gdzie świeci garstka rubinu,
mokra od rosy.

Będziemy mieli pokój,
zwykłe cztery ściany
na miarę wyobrażeń
naszych zbudowane.

Teraz jeszcze nad nim
świeci swoim blaskiem
prawo wyobraźni,
ostatnie prawo łaski.

Ono czasem mi szepce
straszliwą nadzieję,
że w tym wierszu zostanę,
żeby czekać na ciebie.

Zaproszenie

Mówiłem: pojedź ze mną, to niedaleko.

A prosiłem naprawdę: wejdź i zamieszkaj
jeszcze w moim dzieciństwie,
weź ten dar — z pamięci.

Pokażę ci drogi, które z ludźmi odeszły,
Ja wziąłem tylko opuszczone echo.

Pokażę ci w powietrzu miejsca
przecięte jaskółczym śmignięciem.

O DŁUGIM FESTIWALU KRÓTKICH FILMÓW

Rozmowa z doc. dr. B.W. Lewickim

Skończył się pierwszy etap Festiwalu. Kraków, i tak już pękający w szwach z nadmiaru gościnności wymienił część „garnituru" gości. Duża część spośród najbardziej interesujących gości festiwalowych z różnych przyczyn musiała opuścić miasto. Wrócił do Łodzi także docent dr Bolesław W. Lewicki, przewodniczący Jury Krajowego Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. Docent Lewicki jest osobą bardzo znaną i cenioną w Łodzi — nie tylko przez swoich studentów w Uniwersytecie i w PWSTiF, ale także i przez licznych słuchaczy częstych odczytów i prelekcji w towarzystwach naukowych i organizacjach społecznych. Swoje zasadnicze zainteresowania dzieli dr Lewicki między filmoznawstwo i film naukowy. Jak więc z tego wynika, jest osobą jak najbardziej powołaną do kierowania pracami Jury w tak dużym konkursie filmowym, jakim jest Krakowski Festiwal Filmów Krótkometrażowych.

Rozmowa z przewodniczącym jury przeprowadzona następnego dnia po zakończeniu Festiwalu na pewno wszystkich zainteresuje. Pozwoli ona skonfrontować pogląd specjalisty z poglądami obserwatorów, zamieszczanymi często w prasie codziennej. Zacznijmy więc od rzeczy, która te poglądy czyni najbardziej różnymi.

„Dla wielu osób, opierających się głównie na notatkach prasowych dużym zaskoczeniem stało się przyznanie Grand Prix filmowi najmniej „obstawionemu" — filmowi „Powrót statku" Marzyńskiego. Jakie były motywy Jury?"

Od razu Pani powiem, że dwa filmy dostały największe oklaski od publiczności — właśnie „Powrót statku" i „Moje, nie dam" Żukowskiej. Ale początkowo Jury dyskutowało nad zupełnie innymi filmami, które potem zajęły dalsze, drugie i trzecie miejsca. Najgroźniejszymi rywalami „Statku" były: film Ślesickiego „Nim opadną liście", „Araby" Raplewskiego oraz „Czerwone i czarne" Giersza. Ale nie było jednomyślności wśród wysokiego sądu konkursowego. Film Ślesickiego był dla nas zbyt impresyjny, za mało konkretny, dziejący się „gdzieś w Polsce" to znaczy nigdzie, podobnie „Araby" — za mało interesujące problemowo na Grand Prix. Bardzo piękne, ale zanadto tradycyjne i kossakowskie w formie. Po długiej debacie zwróciliśmy uwagę na „Powrót statku" i okazało się, że zawiera on w sobie to wszystko, czego brakowało innym filmom. „Powrót statku" jest filmem prostym i bezpretensjonalnym, jest przy tym czymś względnie nowym jako twór „przytelewizyjny" i „przyradiowy" — wnosi elementy nowej poetyki, trochę w stylu cinema vérité. Ale najważniejsze w nim jest to, że spełnia w stu procentach rolę filmu dokumentalnego: łapie pewien fakt, typowy dla naszej ścisłej współczesności. Powroty Polaków zza oceanu świadczą nie tylko o osobistych tęsknotach i powiązaniach rodzinnych — to jest powrót do kraju ustabilizowanego, nareszcie nie do meczeńskiej Polski, a do zdrowej Ojczyzny. Marzyński w sympatyczny, subtelny sposób uchwycił moment niepowtarzalny, niesłychanie konkretny. To było dla nas najważniejsze.

„Panie Profesorze, pisano już od jakiegoś czasu bardzo wiele na temat filmu Tadeusza Jaworskiego „Edukacja". Czy ten film nie wywarł żadnego wrażenia na Jury?

Wywarł wrażenie, owszem, ale zdecydowanie niedobre. Najlepszy dowód, że nikt z nas nie pomyślał nawet nad jakimś wyróżnieniem dla tego filmu. To co powiem, powiem nie tylko z pozycji filmowca, ale i oświęcimiaka: film jest fałszywy, wypowiada zupełnie fałszywy wniosek. Franek, obozowy kapo, morderca i kat wielu osób nie jest owocem faszystowskiej obozowej edukacji. Reprezentuje on ten typ człowieka, którym faszyzm posługiwał się szczególnie chętnie, ale który stanowi podporę każdej policji i każdej inkwizycji. W dodatku film operuje drastycznymi efektami, nakłania widza do niewłaściwie skierowanego współczucia. To efektowna wiwisekcja, ale nie powinna być dozwolona. Jestem zdecydowanie przeciwny wymowie tego filmu, a także jego poetyce.

„Czy poza pokazami filmów Festiwal krajowy przewidywał jakieś dodatkowe imprezy?"

„Nie. I o tym trzeba koniecznie powiedzieć. Muszę się wyżalić, że wszelkie ciekawe spotkania i dyskusje, wszelkie pokazy rezerwowano skrzętnie na Festiwal Międzynarodowy dla zagraniczników. Trochę to rozumiem, ale szkoda jednak, że w ten sposób krajowy konkurs wypadł trochę jak impreza drugiego gatunku. Niedobrze się też stało, że obydwa Festiwale są tak rozciągnięte w czasie, trwają 2 tygodnie. Mało kto, nawet spomiędzy najbardziej zainteresowanych może sobie pozwolić na tak długie święto, a niektórych mniej godnych gości festiwalu wręcz proszono, aby zwolnili miejsca dla następnych.

Ale tych rzeczy można w przyszłości na pewno uniknąć. Ważne jest to, że i nasz krajowy Festiwal odbył się naprawdę bardzo uroczyście. Dawno już nie uczestniczyłem w tak doskonałej gali. Pokazy odbywały się nie w kinie, a w sali Filharmonii, najbardziej reprezentacyjnej sali Krakowa. Na podjeździe samochody, wewnątrz dużo kwiatów — bardzo reprezentacyjnie, serdecznie i uroczyście. Nowy dyrektor CWF Henryk Mocek i jego pomocnicy stanęli na wysokości zadania.

„Czy Jury oglądało filmy z publicznością, czy na specjalnych pokazach?

I tak, i tak. Z publicznością — żeby poznać jej opinię i smak, na specjalnym pokazie — dla lepszego skupienia uwagi.

„Kto i w jaki sposób typował polskie filmy krótkometrażowe do udziału w Festiwalu Międzynarodowym?"

W zasadzie zrobili to dystrybutorzy — mieli pełne prawo zgłoszenia własnej listy. Muszę przyznać, że bardzo uprzejmie zapytali nas o zdanie, co więcej posłuchali rady. Tylko jeden film w zestawie nie pochodzi z naszej listy. Ostatecznie na Festiwal Międzynarodowy zgłoszono: „Powrót statku", „Fotel", „Araby", „Portrety" i „Moje, nie dam".

Jeszcze jedno pytanie: jaki był pełny skład Jury?

Dwóch reżyserów — Jerzy Hoffman i Jerzy Popiołek, dwóch dziennikarzy — Jerzy Giżycki i Zygmunt Szymański z „Życia Warszawy" oraz dwóch artystów: Jerzy Broszkiewicz — literat i Andrzej Pawłowski — plastyk (to ten od „Kineform"), no i ja — w roli przewodniczącego".

Serdecznie dziękujemy za rozmowę, Panie Profesorze.

Rozmawiała: EWA LIWIŃSKA

Kocham Cleo od południa do północy

Ostatnimi czasy przyszła taka moda, że mężczyźni obowiązkowo robią filmy „kobiece". I to nie byle jacy mężczyźni, bo Antonioni, Bergman, Resnais (n.b. autor naszego tytułowego okrzyku!) Kobieta jako główny bohater dramatu, świat widziany oczyma kobiety, „subtelne drgnienia duszy kobiecej", itd., itd Wypada się tylko dziwić, skąd ci mężczyźni tyle o kobietach wiedzą, skoro kobieta, wiadomo, sfinks czyli nieodgadniona zagadka. Antonioni wyjaśniając zjawisko „sfeminizowania" współczesnego filmu mówi, że kobieta jest istotą bardziej wrażliwą, bardziej uczuloną i reagującą na wszystko co się wokół niej dzieje. Z drugiej strony nie angażując się tak silnie jak mężczyzna w życie aktywne zachowuje większy dystans i możność oceny i refleksji. Na tej bardzo dziś modnej „fali" ciekawą pozycję stanowią filmy o kobietach realizowane przez same przedstawicielki płci pięknej. Właśnie nasza publiczność ma szczęście oglądać dwa tego typu dzieła: „O czymś innym" Czeszki Very Chytilovej i „Cleo od piątej do siódmej" Francuzki Agnes Varda. Filmy o losach kobiet, o ich miejscu w świecie.

Spojrzenie kobiece nie jest tu tylko pretekstem do „odsłaniania głębszych prawd" jak na przykład u Antonioniego. Kobieta nie staje się symbolem odwiecznych czy metafizycznych sił jak np. u Felliniego („La strada") lub Bergmana. I nawet, o dziwo, sprawą główną przestaje być, wbrew tradycji dramat miłosny i w ogóle kwestia życia emocjonalnego kobiet. I u Chytilovej i u Vardy sprawą najważniejszą jest sens kobiecej egzystencji, jej ludzkiej autentyczności. W „Cleo od piątej do siódmej" zostało to szczególnie mocno zaakcentowane.

„Łatwiej znieść śmierć nie myśląc o niej — powiada Pascal — niż myśl o śmierci, nawet jeśli ona nie grozi". Myśl o śmierci stawia pod znakiem zapytania dotychczasowe życie Cleo — kobiety ślicznej, szczęśliwej, psutej i rozpieszczanej przez los i adorujących ją mężczyzn. W momencie zagrożenia śmiercią wszystko to okazuje się pozorem. Cleo odkrywa samotność i pustkę. Zaczyna widzieć siebie a potem innych. I swoją ogromną samotność w tym mieście pełnym życia i ludzi. W przeciwieństwie do Antonioniego, Varda nie traktuje jednak samotności jako jedynego możliwego stanu ludzkiego istnienia. „Film opowiada — mówi francuska realizatorka — jak Cleo czując oddalające się od niej życie, jego nawyki i uprzedzenia staje się ciekawsza, pełniejsza, wrażliwsza do tego stopnia, że może spotkać chłopca. Z nim jest prawdziwa, jest sobą. Mogą się zrozumieć, pomóc sobie, i być może kochać". Odnajdując siebie, przestając być zbytkownym przedmiotem, Cleo odnajduje innych ludzi, znajduje przyjaciela, który traktuje ją nareszcie poważnie, jak człowieka. Jego obecność dopełnia metamorfozy Cleo, która może się już nie bać. Jest to więc film w gruncie rzeczy optymistyczny choć mówi o śmierci i samotności.

„Mój film jest filmem o kobiecie w Paryżu" — mówi Agnes Varda. Istotnie, Paryż jest osobą dramatu. Paryż widziany oczyma Cleo i inny w zależności od okularów przez jakie ona patrzy (vide krótkometrażówka Raula). Przy okazji wyłazi z Vardy dusza znakomitego fotografa, kapitalnego podpatrywacza ludzi, scenek rodzajowych, mikrodramatów. Z drugiej strony osadzenie dramatu ludzkiego w centrum tętniącego życiem i ruchem miasta nadaje mu zupełnie nowy, bardziej autentyczny wymiar. Nie rozgrywa się on bowiem w izolacji. Jest rzec można, „zdekoncentrowany". Rozwija się na zasadzie przypływów i odpływów. Chwilami Cleo zapomina bowiem o swojej udręce i jej źródle. Jedynym czynnikiem nieuchronnie narastającego niepokoju i napięcia jest czas — obiektywny, niemal mechaniczny bezlitośnie przemijający. Dopiero na koniec przestanie on obchodzić bohaterkę. Powie do swego przyjaciela: mamy przecież przed sobą cały czas". Będzie to już bowiem czas odzyskany.

Czas jest w „Cleo od piątej do siódmej" wyznacznikiem konstrukcji dramaturgicznej, niezwykle wbrew pozorom precyzyjnej i kunsztownej. Nadaje on kierunek, kształt i sens płynnej i niestałej rzeczywistości ludzi, przedmiotów, ruchu i życia, jaka wypełnia film. Jest jedyną niezmienną wartością, choć nieustannie zmienia się jego treść. Ale i ten w końcu zostaje ujarzmiony. Film rozgrywa się więc między próbą przeniknięcia czasu, zawieszenia go w teraźniejszości dla odkrycia przyszłości (scena u kabalarki) a momentem opanowania czasu czyli odzyskania go dla siebie (finał). Wychodząc z kręgu przedmiotów, stając się człowiekiem, Cleo ujarzmia czas. Jego nieubłagany bieg przestaje ją trapić.

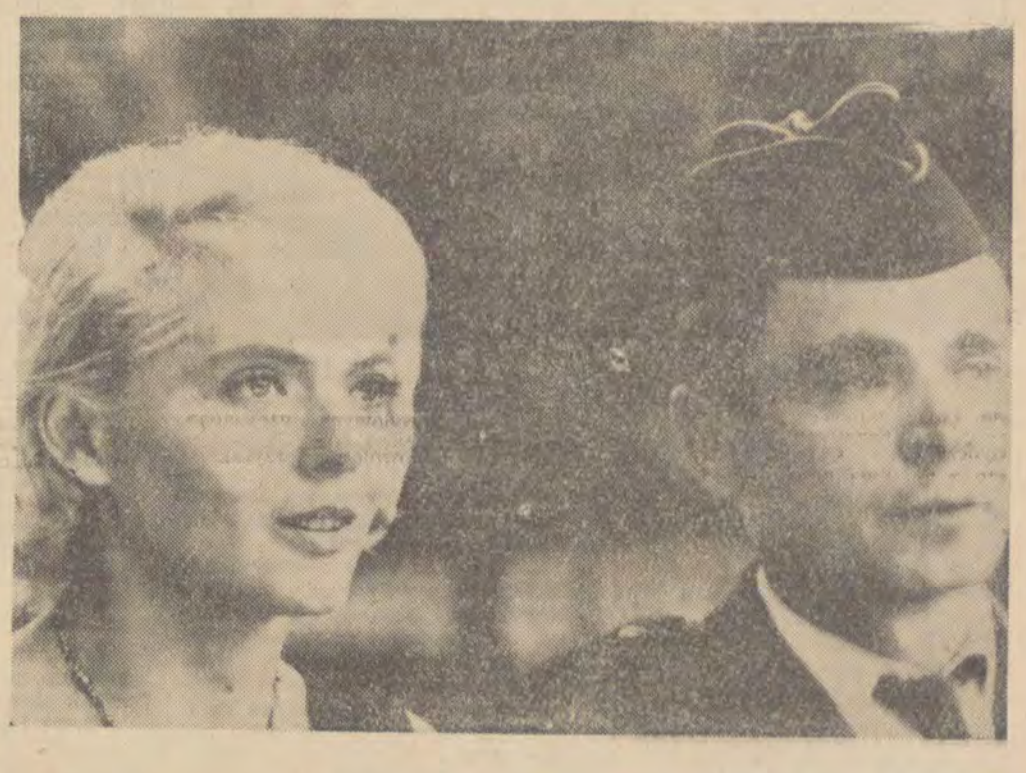

Nie tylko konstrukcja dramaturgiczna wyrażająca myśl filmu zasługuje na uwagę, ale świetna reżyseria odznaczająca się iście kobiecą subtelnością w cieniowaniu nastrojów, przeżyć i odczuć bohaterki, a zarazem męska stanowczością w organizowaniu materii filmu. Styl reżyserii zmienia się wciąż, a przecież pozostaje jednolity. Podobnie styl zdjęć. Szczególnie pozostają w pamięci takie momenty jak znakomity początek (płaszczyzna stołu, barwne karty, ręce, głosy dochodzące z nieokreślonej przestrzeni), sekwencja u modystki (w sposób niemal kubistyczny udało się w niej uchwycić przenikanie się wzajemne form i kształtów przepływanie życia), świetny epizod w mieszkaniu Cleo z dramatyczna kulminacja piosenki „Bez ciebie" itd. itd. Zmiana tonacji filmu widoczna jest zwłaszcza w partii końcowej, w sekwencjach rozgrywających się w parku, bardzo lirycznych, zmiękczonych zdjęciowo i stylistycznie. Zresztą o tym filmie nie sposób pisać. Trzeba go zobaczyć. Polecam go zwłaszcza kobietom, no i wszystkim miłośnikom prawdziwie nowoczesnego kina.

Maria Kornatowska

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

Dlaczego jest tyle dowcipów o rozbitkach na bezludnej wyspie? Myślę, że każda sytuacja wyjątkowa, niecodzienna niesie z sobą duży potencjał humoru. Wystarczy po niego sięgnąć — wystarczy spojrzenie z innej płaszczyzny i... już się śmiejemy. Dziś zobaczymy w jaki sposób Włosi i Francuzi śmieją się z więźniów. Jest to śmiech z cudzego nieszczęścia, ale śmiech sympatyczny.

— Karolu, obiecałeś że nie będziesz nigdy palił.

— Mamo, tatuś wrócił...

— W pewnym momencie zorientowałem się, że państwo drukuje takie same banknoty jak ja.

— Rośnij rybko, rośnij...

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

Fot. E. Kudaj

Festiwal TEATRÓW amatorskich

Niedawno zakończył się w Łodzi Ogólnopolski Festiwal Teatrów Amatorskich. Do prof. Michała Orlicza — teatrologa, członka centralnej komisji oceniającej, powołanej przez Ministra Kultury i Sztuki, i przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich oraz przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Festiwalowego zwróciliśmy się z pytaniem:

— Jak powinna wyglądać i jak wygląda sprawa repertuaru w teatrze amatorskim? Czy powinien dominować tu repertuar specjalny, czy też zespoły korzystają z repertuaru współczesnego i klasycznego przeznaczonego w zasadzie na sceny zawodowe?

— Był czas kiedy zespoły amatorskie korzystały bardzo często z repertuaru pisanego z przeznaczeniem na sceny amatorskie, oczywiście mało ambitnego i przeważnie tworzonego przez przypadkowych autorów. Był to okres raczkowania, okres niemowlęctwa ruchu amatorskiego. Myślę o latach pięćdziesiątych. Chcemy, aby zespoły amatorskie grały utwory wartościowe, żeby sięgały drugiego piętra sztuki teatralnej, żeby nie spalały się w błahostkach repertuarowych. Wolimy nawet jeśli zespół położy sztukę wartościową, niż jeśli potknie się na byle czym, na obrazku scenicznym bez wartości. Amatorzy sami zresztą potrafią się już orientować w doborze repertuaru i właściwie nie ma już na scenach amatorskich sztuk tuzinkowych, pozbawionych problematyki społecznej czy obyczajowej. Jest ich w każdym razie bardzo mało. Przeglądając zespoły woj. łódzkiego przed eliminacją do Ogólnopolskiego Festiwalu wyłapaliśmy na kilkadziesiąt przedstawionych pozycji tylko dwie, trzy pomyłki repertuarowe.

W tej chwili w repertuarze polskich teatrów amatorskich znajdujemy Gorkiego, Lope de Vega, Mrożka i Broszkiewicza, Roztworowskiego, Szaniawskiego i Gruszczyńskiego. Wyrażają się w tym ambicje amatorów, zwłaszcza, że — jak powiedziałem — zespoły dos konale radzą sobie z trudnym tekstem literackim — potrafią go nawet sensownie przystosować do inscenizacji nawet eksperymentalnej.

Reasumując: ambitny, humanistyczny repertuar, jaki zespoły amatorskie biorą ostatnio na warsztat, jest wyrazem wzrostu aspiracji artystycznych ruchu teatralnego. Reżyserzy sięgają po utwory zaangażowane, starając się kształcić smak odbiorców. To chyba dobry objaw.

Do Czesława Staszewskiego dyrektora Teatru Ziemi Łódzkiej i członka zespołu konsultantów na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich zwróciliśmy się z pytaniem:

Jak pan widzi problem aktora-amatora, problem przechodzenia z ruchu amatorskiego na sceny zawodowe i w ogóle problem istnienia szerokiego frontu scen amatorskich obok scen zawodowych.

— Sprawa jest dość skomplikowana. Był czas, nazajutrz po wojnie, że teatr potrzebował aktorów — wyławiano wówczas z ruchu amatorskiego zdolnych ludzi. Obecnie ten problem przypływu amatorów wyraźnie się stępił — szkoły dostarczają wystarczającą ilość młodych aktorów. Ale... przecież aktor to oczywiście wiedza ogólna, znajomość rzemiosła lecz przede wszystkim talent, uzdolnienia, których nie da żadna szkoła. W tej chwili egzaminy eksternistyczne dla aktorów nie mających dyplomów a tylko tak zwane prawo współpracy — zostały zawieszone. Ale... przecież zdarzają się w ruchu amatorskim ludzie, którzy z różnych względów nie mogli ukończyć normalnych studiów aktorskich, a reprezentują sobą interesujące talenty. Dla nich być może stworzy się możliwość zdawania poszczególnych lat na Wydziale Aktorskim. Są to jednak sprawy marginesowe. Aktorów z z dyplomami eksternistycznymi jest w Łodzi nie więcej niż 20 proc. Przypływ ze scen amatorskich jest w tej chwili żaden. Ważniejszy jest problem źle pojętej rywalizacji między sceną amatorską a zawodową. Jest dla rozwoju aktora zawodowego niebezpieczne jeśli gra on pod rząd 100 przedstawień tej samej sztuki. Jest zupełnie źle jeśli takie wypadki mają miejsce w zespole amatorskim. A to się zdarza dosyć często. Amator zatraca się wtedy, rutynizuje, traci zdolność rozeznania gdzie dobry smak, a gdzie sztampa, grając zbyt często gra mechanicznie. Ta sprawa spro wadza się do warunków w jakich zespół pracuje. Jeśli warunki te pozwalają na wielokrotne powtarzanie sztuki (brak na tym terenie teatru zawodowego) — zespół angażuje zawodowego scenografa, zawodowego reżysera, gra dziesiątki spektakli i przeradza się w zespół quasi zawodowy. Praca w zespole amatorskim może być pożytecznym zjawiskiem z dziedziny upowszechnienia kultury, uteatralnienia środowiska tylko wtedy, jeśli stanowi hobby, jeśli jest uzupełnieniem ogólnej wiedzy członków zespołu. Zdrowy ruch amatorski nie powinien stawać w kolizji z teatrem zawodowym. I muszę stwierdzić, że jako zjawisko, tendencje ciągotek do za wodowstwa w ruchu amatorskim nie występują.

Rozmawiał: **Jerzy Wilmański**

Półka z książkami

NIE TYLKO PRZYGODA

„Śmiertelnie ranny" („Ferito a morte") stanowi jedną z najciekawszych powieści po wojnie, stwierdza w przedmowie Marcin Czerwiński. Faktem jest, że dopiero ta powieść zyskała rozgłos światowy i przyniosła autorowi w roku 1961 nagrodę „Stregą" (Raffaele La Capria, ur. w 1922 r. w Neapolu, dziennikarz i pisarz, debiutował w 1952 r.). Bohaterowie powieści wywodzą się ze snobistycznych klubów mieszczańskich, obracają się w klimacie kosztownych rozrywek, flirtów i przygód, nazywanym przez bohatera powieści „wspólnotą próżniactwa", „płochą zaprawą do tego wielkiego społecznego próżniactwa, w którym współdziałają aż do śmierci wszyscy należący do tak zwanej klasy rządzącej". Klęska głównego bohatera powieści, który jest „śmiertelnie ranny", brak wyraźnej odpowiedzi, co oznacza ta metafora, może być w różny sposób tłumaczona. Nie ulega wątpliwości, że jest to powieść ciekawa nie tylko ze względów formalnych. Obok anegdoty zawiera duży ładunek treściowy, nie sam smak przygody, ale jej motywy decydują o jej wyglądzie.

T. M.

Raffaele La Capria, „Śmiertelnie ranny", PIW, str. 230, cena zł 15.

„WYRAJ" CZYLI PRZYGODA

„Przygodą okupacyjną" nazwał Edmund Niziurski swoją książkę. Jest to przygoda jakich wiele — lekarz z Warszawy, przycupnięty w małym miasteczku, ogarnięty jedną obsesją — przetrwać — zostaje wciągnięty w leśne gąszcze partyzanckiej konspiracji, wciągnięty przemocą i wbrew woli. Bohater „Wyraju" ma jednak dość wojaczki, ucieka więc konwojującej go konspiratorce, wpada w potyczkę Wandy z żandarmerią, wraca, decyduje się na walkę, którą przeklął, o której chciał zapomnieć. Czyni to — jak twierdzi — z dwu powodów. „Za daleko już zabrnąłem w las. To trzeba doprowadzić do końca. Niech to wszystko ma sens".

Nie bardzo to przekonywające. Czytelnik wierzy raczej w ten drugi powód — miłość do dziewczyny z partyzanckiego oddziału. Dziewczyna zagubiła się, zresztą, straciła kontakt z oddziałem, miast konwojować krnąbrnego lekarza sama potrzebuje pomocy, jest poza tym ranna i bohater książki nie powinien jej opuścić nawet gdyby zabrakło uczucia. Inaczej mógłby w oczach czytelnika wyjść na zwyczajną świnię.

A tego nie chce autor, który sympatią darzy przecież i lekarza i sierżanta Wandę i handlarza Palucha — słowem wszystkich, nawet oberfeldfebla Ratschecka. Autor czuje słabość do swoich bohaterów i nie miejmy mu tego za złe ponieważ — wydaje się — potrafi czytelnika tą słabością zarazić. W sumie zajmująca, choć niezbyt głęboka książka — 140 stron okupacyjnej przygody z happy-endem.

J. W.

Edmund Niziurski „Wyraj" MON — 1964 — cena 8 zł.

KAMRACI

Pisarstwo H. H. Kirsta, to tradycyjny i dobrze nam znany nurt powieści niemieckiej. Już od pierwszych kart jego książek narzucają się skojarzenia z prozą Fallady, Arnolda Zweiga, Feuchtwangera i Remarque'a. Uwaga ta może służyć za rekomendację, jako że ten typ powieści znajduje u nas zawsze życzliwych czytelników.

A jeszcze i temat: „Kamraci" — kolejna powieść Kirsta przyswojona nam przez Wyd. MON — jest powieścią demaskatorską. Jej akcja, umiejscowiona w dniu dzisiejszym NRF bezlitośnie zdziera maskę z twarzy mieszczucha niemieckiego zażywającego dobrodziejstw „cudu gospodarczego".

Co się pod tą dobroduszną i poczciwą maską czai? Kim są „szanowani obywatele" republiki bońskiej? Powieść Kirsta o akcji zbudowanej wokół trzymającej w napięciu zagadki odpowiada na to pytanie śmiało i bezkompromisowo. Czyta się ją jak dobry kryminał — jednym tchem. A potem przychodzi refleksja. Takie książki, jak „Kamraci" Kirsta, mają swój zaszczytny udział w tym iż zbrodnie przeszłości nie idą w zapomnienie. Nawet w NRF.

Hans Helmut Kirst — „Kamraci". — Wyd. MON, 1964

KRANIK

GDY GWIAZDY SIĘ NUDZĄ?...

Catherine czy Jane?

Catherine Deneuve, młoda gwiazdka filmu francuskiego, bohaterka nagrodzonych „Parasolek z Cherbourga" stała się ostatnio przyczyną znacznego poruszenia w świecie plotkarskich dziennikarzy i „paparazów". Catherine, ongi była kolejna oficjalną „damą serca" Rogera Vadima, urodziła mu nawet syna, ale musiała ustąpić miejsca pełnej temperamentu i pięknej Jane Fonda. I oto właśnie Catherine a nie Jane przetańczyła z Vadimem całą noc zamknięcia festiwalu. Mówi się nawet o wspólnych wakacjach w Bretanii. Ale na razie Vadim wraz z Jane Fonda wyjeżdża do Związku Radzieckiego, aby tam przyjrzeć się pracy radzieckich wytwórni filmowych. Czyżby najpierw obowiązek, a potem przyjemność?

POLOWANIE NA MĘŻCZYZN

To tytuł filmu, w którym w rolach zatwardziałych trzech starych kawalerów występują: Jean-Claude Brialy, Claude Rich i Jean Paul Belmondo. W trójkę dzielnie bronią się przed zakusami pięknych dziewcząt, ale w końcu i naukowe metody oporu zawodzą...

Michele Morgan i Jean Louis Trintignant stanowią parę kochanków w filmie Jacques Robina „Les Pas Perdus". Poznają się na dworcu — ona bogata i piękna, on piękny i młody. Rodzi się krótkotrwała, ale pełna wdzięku i poezji przygoda...

Yul Brynner, Richard Widmark i George Chakiris są tytułowymi bohaterami filmu Michaela Andersona („W 80 dni dookoła świata"), zatytułowanego „Trzej żołnierze przygody". Ich partnerkami są: Japonka Eiko Taki, Francuzka Daniele Gaubert i Amerykanki Shirley Knight i Suzy Parker.

* * *

□ Po powrocie z Austrii Michele Morgan stała się nagle bezdomna. Jej gospodarz, właściciel mieszkania, książę Zamoyski, postanowił sam zamieszkać w domu, z którego dotąd korzystała Michele. Pociechą dla Michele Morgan po tym ciosie z rąk Polaka jest sukces jej syna Mike'a i to zarówno w teatrze, jak i w filmie.

□ W czasie zdjęć do filmu „L'insoumis" Alain Delon spadł z wysokiej skały w pobliżu Marsylii. Upadek nie był wprawdzie groźny, ale jednak unieruchomił Delona na kilka tygodni. Alain Delon w dalszym ciągu nie chce korzystać z usług dublera w scenach wymagających wielkiej zręczności fizycznej.

□ Jean Gabin i Fernandel znaleźli nareszcie tytuł wspólnie realizowanego filmu: „Niewdzięczny wiek". Gabin będzie w tym filmie grał człowieka z Północy, Fernandel południowca. Wszystko ich dzieli, ale córka Gabina zakochuje się w synie Fernandela. W odróżnieniu od historii Romea i Julii, wszystko się dobrze skończy.

□ Nie tylko w Polsce modne są aktorskie wykonania piosenek. Coraz więcej gwiazd filmowych poświęca się piosence. Śpiewa Sofia Loren i Brigitte Bardot, Elga Andersen i Corinne Marchand, Dany Saval i Marie Laforet, Danielle Darrieux i Jeanne Moreau. I robią to znakomicie, dostają nagrody doroczne i okolicznościowe, a publiczność kupuje ich płyty równie chętnie jak Johnny Hallyday'a.

□ Jednym z najszerzej omawianych we Francji filmów jest obecnie „Doktor Strangelove, czyli jak nauczyłem się nie przejmować i pokochałem bombę" Stanleya Kubricka. Film ten był już także zapowiadany przez naszą prasę filmową. We Francji uznano go bombą sezonu. Mówi Stanley Kubrick: „Wszystko zaczęło się od tego, że miałem ogromną ochotę zrobić coś na temat koszmaru atomowego. Czytałem na ten temat wszystko, co mi wpadło w ręce. Mam około 80 książek o atomowym niebezpieczeństwie, prenumeruję biuletyny Armii, Lotnictwa i Marynarki".

Bohaterem filmu jest pewien generał-szaleniec, który kieruje samolotem z bombą atomową na kraj przeciwnika. Od tego momentu, a więc nieco późno, świat zaczyna traktować sprawę wojny atomowej poważnie.

□ Niespodziewany triumf „Toma Jonesa", filmu Tony Richardsona, według powieści Fieldinga, wprawił w zakłopotanie licznych producentów. Zasadniczy problem polega na tym, jak zdyskontować powodzenie „Toma Jonesa"? Na wszelki wypadek Paramount kupił już za drogie pieniądze adaptacje „Doli i niedoli sławnej Moll Flanders" Daniela Defoe.

Literatura we Włoszech

Od kilku miesięcy czołowe miejsce na liście bestsellerów włoskich zajmuje książka o wymownym tytule: „Capriccio Italiano"; książka, która ostatnio, w miarę tłumaczenia jej na inne języki, staje się także rewelacją w skali międzynarodowej. Jest to pierwsza powieść Edwarda Sanguinetti, znanego poety, teoretyka nowej awangardy włoskiej, krytyka twórczości Dantego, przyjaciela i rzecznika eksperymentów kompozytora Berio.

Capriccio Italiano — tytuł ironiczny, albowiem marksista Sanguinetti nie prawi komplementów swojej ojczyźnie, targanej sprzecznościami neokapitalizmu Północy i feudalnej nędzy Południa, euforii „cudu gospodarczego" i groteskowej sensacji skandalów finansowo-budowlanych. Jednakże „Kaprys włoski" nie byłby utworem nowatorskim, gdyby fenomen kryzysu społecznego nie znalazł tu wyrazu w kryzysie formy powieściowej. W istocie, szokująca nowość tego „kaprysu" objawia się w jego stylu, który jest swoistym stopem relacji onirycznej i mowy potocznej anno 1963.

Ostatnio, w związku z ukazaniem się „Capriccio Italiano" w przekładzie francuskim, Sanguinetti bawił kilka tygodni w Paryżu. Doszło tu, oczywiście, do spotkania między autorem książki i jej tłumaczem, Janem Thibaudeau, młodym pisarzem, reprezentującym drugą generację „nowej powieści" francuskiej. Rozmowa ich jest wielce interesująca z tego choćby względu, że zawiera próbę usytuowania literatury w dzisiejszej rzeczywistości włoskiej i, szerzej, w ramach „wspólnego rynku". Przytaczamy z niej fragmenty najbardziej charakterystyczne.

S. B.

E. S. Od XIV wieku, czyli od czasów Dantego, Petrarki i Boccacia, włoski język literacki był językiem martwym, jak łacina. W różnych prowincjach różnie mówiono, a pisarze nie bacząc na to piastowali język, którego nikt nie używał. W okresie Risorgimento Manzoni podjął próbę zjednoczenia językowego, które miało odpowiadać zjednoczeniu politycznemu. Włoszczyzna Manzoniego posłużyła do zredagowania kodeksów i gramatyk, ale władza centralna, w miarę jak stawała się reakcyjna, traciła kontakt z rzeczywistością włoską. Naturalizm posługiwał się dialektami.

I wreszcie faszyzm, który był w równej mierze dziełem d'Annunzia, co i Mussoliniego, narzucił pisarzom opozycyjnym na raz regionalizm i neorealizm (Pavese, Vittorini). Poeci szukali schronienia w składni swoich dawnych profesorów i w krajobrazach swego dzieciństwa. Dzisiaj społeczeństwo współczesne ze swoją telewizją i tak dalej wypiera zewsząd dialekty lokalne, ale jeszcze nie pozwala określić owej średniej językowej, która powstaje empirycznie. Przyszłość naszego języka jest otwarta.

J. T. I jednocześnie „prowincjonalna" sytuacja pisarza ulega chyba poważnym zmianom?

E. S. Niewątpliwie, rozwój gospodarczy Włoch począwszy od lat pięćdziesiątych wywołał głębokie zmiany w kondycji pisarza włoskiego i, co za tym idzie w zakresie możliwości, jakie może mieć do wyboru. Przez trzydzieści lat największy poeta włoski, Ungaretti, musiał wydawać swe książki w śmiesznie małych nakładach. Pozycja takiego pisarza, jak Pavese, w końcowym okresie jego życia, była, jeśli chodzi o rozgłos, bardzo byle jaka w porównaniu z dzisiejszymi sukcesami Moravii lub Bassaniego.

Należy przyznać, że walka z analfabetyzmem i, z drugiej strony, ekspansja nowoczesnych środków informacji i przekazu ogromnie rozszerzyły nasz rynek literacki. Wokół firm wydawniczych, które nagle zakwitły, wokół galerii malarstwa powstały prawdziwe „ośrodki przemysłowe kultury", zwłaszcza w Rzymie i w Mediolanie. Są już wśród artystów i pisarzy włoskich tacy, którzy dorobili się majątków. Jednakże, przypadkowość tej sytuacji, której brak stałej podstawy ekonomicznej i zaplecza klarownej woli kulturalnej, budzi niepokój, jak wykazał to ostatni zjazd pisarzy we Florencji albo film „Ręce nad miastem", którego alegoryczna wymowa wykracza daleko poza specyficzną dziedzinę budownictwa mieszkaniowego.

J. T. Jak żyje pisarz włoski?

E. S. Nawet awangarda korzysta w znacznej mierze, dzięki wydawcy Feltrinelliemu, z „industrii kulturalnej". Ale Rzym i Mediolan to jedynie bieguny ekonomiczne. Większość artystów i pisarzy pozostaje u siebie w domu: twórcze ośrodki malarstwa znajdują się właściwie w Neapolu i w Genui i jeśli młodzi powieściopisarze „szkoły palermitańskiej" są wydawani w Mediolanie, to przecież tam nie mieszkają. Pisarz żyje z pracy dla swego wydawcy, dla czasopism lub uniwersytetu, który coraz szerzej otwiera swe sale wykładowe dla literatury współczesnej czy też niedawnej. W ogólności, żyjemy tak jak wszyscy nasi koledzy europejscy. I dzieła nasze coraz mniej odzwierciedlają nasze pochodzenie drobnomieszczańskie, mamy coś lepszego do roboty.

J. T. I aby jakoś poradzić na brak stolicy takiej jak Paryż, intelektualiści włoscy wiele podróżują, gromadzą się na kongresach, zakładają miesięczniki...

E. S. Zawsze było i jest nadal wiele miesięczników we Włoszech, ale gdyby chodziło o globalne streszczenie życia literackiego od czasu zakończenia wojny, trzy miesięczniki wystarczą. Przede wszystkim „Politecnico", gdzie Vittorini, promotor wespół z Pavesem amerykańskiej literatury we Włoszech, formułował tuż po wojnie problemy „zaangażowania". Polemika między Togliattim i Vittorinim położyła kres doświadczeniu, którego dobrą stroną było przynajmniej to, że pozwoliło nam poznać Amerykanów, Niemców, Sartre'a, Aragona, Eluarda i in.

Następnie, w latach pięćdziesiątych, „Officina", wydawana w Bolonii pod kierownictwem Pasoliniego, odbijała na swych łamach kryzys zaangażowania i neorealizmu. I wreszcie dzisiaj „Il Verri", pod kierownictwem Anceschiego, likwiduje ostatecznie nie tylko wojnę, ale i okres powojnia. To dzięki właśnie „Il Verri" mogliśmy utworzyć w r. 1960 grupę „Novissimi", a w ubiegłym roku „Grupę 63".

J. T. Jak się przedstawia ta nowa awangarda?

E. S. Trudno ująć ją w jakąś prostą formułę. Miesięczniki, o których mówiłem przed chwilą, były szeroko otwarte dla dyskusji, bardzo gościnne. Podobnie, awangarda dzisiejsza nie jest dogmatyczna. Jej jedność jest negatywna, odrzuca bowiem zgodnie powojenny dylemat „neorealizm-neoklasycyzm". I oczywiście mowy nie ma o powrocie do dadaizmu czy futuryzmu. Nie ma tu również żadnego politycznego tabu, jedni, jak ja, są marksistami, inni — nie. Nasze postulaty oparliśmy na wzorach współczesnej muzyki i malarstwa. I stawiamy przed sobą te same problemy, co i pisarz zwany zaangażowanym, ale szukamy innych rozwiązań. Uważamy, że aktywność twórcza legitymuje się swą siłą protestu, ale także świadomym stosunkiem do swego tworzywa.

Jeśli się chce wyrazić kryzys nurtujący społeczeństwo, nie sposób ominąć kryzysu języka, trzeba go ujawnić. Nowa kwalifikacja awangardy jest możliwa jedynie wtedy, gdy twórczości towarzyszy spojrzenie krytyczne.

J. T. We Francji — a mam na myśli Blanchota, Martę Robert, Barthes'a, Foucault'a, Starobińskiego, Pouleta, Richarda, Goldmanna i innych — najbardziej pasjonującym zjawiskiem współczesności literackiej jest niesłychanie aktywna krytyka, inspirująca się psychoanalizą, marksizmem, strukturalizmem. Jak się ta sprawa przedstawia we Włoszech, gdzie znamy jedynie Umberta Eco?

E. S. Cała nasza krytyka jest moralistyczna albo, jak powiada Roland Barthes, „kosmetyczna". Krytyka lewicowa, mieniąca się marksistowską, zupełnie tak samo jak i krytyka reakcyjna zwąca się humanistyczną, okadza dzieła celebrujące, zamiast torować drogę literaturze poznania i przemiany. Krytyka chwali lub gani, doradza lub okazuje obojętność — i nie rozumie nic. Czy nasze społeczeństwo jest niezdolne do samopoznania? Głosiciele zaangażowania proponują nam w gruncie rzeczy zająć się czym innym, tylko nie literaturą, podczas gdy chodzi przecież o poznanie i, co za tym idzie, o krytykę literatury. Kilku krytyków włoskich naprawdę interesujących (etnologia, psychoanaliza, lingwistyka) dociera jedynie do wąskiego kręgu specjalistów.

J. T. Czy „nowa powieść" francuska wywarła na pana jakiś wpływ?

E. S. Podobnie jak pisarze „nowej powieści" francuskiej, czytałem pilnie Joyce'a i Kafkę. Jak i oni, odrzucam powieść mieszczańską, tak jeszcze żywotną we Włoszech. Ale jestem przede wszystkim poetą, zacząłem od pisania wierszy, jak i wszyscy moi przyjaciele, albowiem mamy tradycję poetycką, nie mamy tradycji powieściowej. Pewien wpływ wywarły na mnie technika Pounda i teorie Eliota. Moje pierwsze utwory były na poły włoskie, na poły łacińskie, z domieszką odrobiny angielskiego, niemieckiego, francuskiego i nawet greckiego. Ostatnie moje wiersze są dość odmienne, jak i „Capriccio".

Operując snem i językiem, chciałbym wykryć w naszej teraźniejszości realną obecność mitów płci i śmierci. Wydaje mi się, że większość pisarzy „nowej powieści" woli raczej zdać się na interpretację innych, niż samej sobie zadać trud szukania sensu własnego dzieła.

POETYKA GOTYCKA

LECH BUDRECKI

Czytamy Faulknera. I po chwili uświadamiamy sobie, że przecież gdzieś kiedyś otarliśmy się o rzeczy podobne. O takich bohaterów jak Bayard Sartoris. I takich jak pułkownik Sutpen. Napiętnowanych potępieniem i ku potępieniu zmierzających. Czytamy Carson Mc Cullers. Nie „Gościa weselnego", lecz choć by wcześniejsze „Reflections in a Golden Eye". I orientujemy się już, że znamy to. Znamy tę bezlitosną eksploatację tajemniczości i grozy. Gwałtu i melodramatycznej fabuły. Tylko skąd? Skąd? Po chwili przypominamy sobie. Ależ tak, oczywiście, że też od razu nie wpadło nam do głowy. To przecież powieść gotycka z końca XVIII i początków XIX wieku. A raczej — to pogłos poetyki gotyckiej. Naturalnie, przytłumiony, odległy. To jej sposoby. Rzecz prosta, zmodyfikowane już, odkształcone pod wielu względami. Ciąży tu przecież dziewiętnastowieczny weryzm. Nie ma wydarzeń olśniewających swą niezwykłością. Porwań, ucieczek, błądzenia po zamkach pośród tajemnych przejść i ukrytych zapadni. Nie ma wydarzeń niezgodnych z poczuciem życiowego prawdopodobieństwa. Tym, które mieszka w odbiorcy. Mieszka w czytelniku.

Wiemy już — to proza gotycka. To jej tradycja odzywa się w prozie Williama Faulknera i w prozie Roberta Penn Warrena. I wówczas pytamy samych siebie: skąd ona tutaj? Skąd się wzięła? Czemu trafiamy na jej ślad w powieści amerykańskiej i amerykańskim opowiadaniu lat międzywojennych? Oczywiście, nie wszędzie. Oprze się jej przecież Ernest Hemingway i F. Scott Fitzgerald. Tak jak oprze się jej John Dos Passos i John Steinbeck. Ale Faulkner, ale Carson Mc Cullers, ale tylu, tylu innych... Czym tłumaczyć to zadziwiające odrodzenie prozy gotyckiej, tę nagłą, niespodziewaną jej żywotność?

Pytania te... Pytania te wywodzą się z niewiedzy. Z nieznajomości historyczno - literackiego kontekstu. U ich podstaw tkwi fałszywy model prozy amerykańskiej. Zaciera on odrębność jej rozwoju. Odwzorowuje sytuacje zachodnioeuropejskie. A raczej którąś z takich sytuacji. I nie chce widzieć, nie widzi zasadniczych różnic. Bo proza amerykańska... Jej drogi są osobliwymi drogami. Wszystko zaczyna się u końca XVIII i początków XIX wieku. Zaczyna się tedy wraz z powieścią amerykańską. Miała ona wówczas kilka propozycji, kilka gotowych już ukształtowanych modeli prozatorskich. Interesowały ją przede wszystkim modele językowe najbliższe. Te, które bądź uformowały się w Anglii bądź stanowiły zmodyfikowaną, angielską wersję wzorów kontynentalnych. Wybór sprowadzał się więc do dylematu — albo Fielding ewentualnie Smollett albo sentymentalna powieść Richardsona. Proza amerykańska wybrała Richardsona. Odrzucając to, co w nim wydaje się dziś najcenniejsze. Odrzucając jego aparaturę analizy psychologicznej. Amerykańska proza postawiła na powieściowy melodramat. Melodramat czysty — z haniebnym niegodziwcem i szlachetną dziewicą. A potem... Potem opowiedziała się raz jeszcze przeciw Fieldingowi. Za powieścią gotycką.

Powieść gotycka była w pierwszym rzędzie zjawiskiem angielskim. Zapoczątkował ją w roku 1764 „Zamek w Otranto" Horace'a Walpole. Później przyszedł „Włoch" pani Radcyffe. Powieść gotycka niewielkie miała reperkusje w prozie kontynentalnej. Miała je. To oczywiste. Ale przede wszystkim zaważyła na prozie amerykańskiej. Tu zadomowiła się na dobre. Pierwszym klasykiem amerykańskiej prozy jest autor „Wielanda" William Brockden Brown. Był jednym z pojętniejszych uczniów pani Radcyffe.

I w tym miejscu zaczyna się odrębność rozwoju prozy amerykańskiej. Powieść gotycka umiera w latach trzydziestych XIX wieku. Najdłużej trzyma się w Anglii. Tu przecież powstaje „Mnich" Mathew Gregory Lewisa, tu pisze James Hogg swoje „Private Memoirs", tu wreszcie ukazuje się „Melmoth the Wanderer" Mathurina. Oczywiście powieść gotycka zmienia swą pierwotną wersję. Staje się powieścią gotycką romantyzmu. „Wichrowe wzgórza" Emilii Bronte są ostatnią wielką książką sporządzoną wedle wzorów tej poetyki. Schodzi ona na drugi plan. Zepchnięta przez Dickensa i Thackeraya. Przez pisarzy, którzy swej inspiracji szukali w XVIII-wiecznym romansie obyczajowym. W Fieldingu czy Smolletcie. W Ameryce tymczasem... W Ameryce trwa rozkwit poetyki gotyckiej. Łączy się ona tam z poetyką powieściowego melodramatu. I łączy się z poetyką „wielkiego symbolu". Wielki symbol... Proza gotycka przyswoiła go sobie już wcześniej. Po naszej stronie Atlantyku. Zasymilowała go w swej drugiej wersji. Nie pierwotnej, lecz późniejszej ukształtowanej przez następne pokolenie piszących. Takich jak Hogg czy Mathurin.

Poetyka gotycka wyznacza zasadniczy kierunek tendencji rozwojowych prozy amerykańskiej pierwszej połowy XIX wieku. W jej obrębie mieści się „Szkarłatna litera" i „Marmurowy faun" i „Dom o siedmiu szczytach" Nathaniela Hawthorne'a... W jej obrębie pozostaje jedna z największych powieści minionego wieku — „Moby Dick" Herrmana Melville'a. Stąd, właśnie stąd wywodzi się osobliwość tych książek, ujawniająca się z taką siłą, gdy przymierzyć je do powieści Balzaka czy powieści Dickensa. W kręgu poetyki gotyckiej porusza się Allan Edgar Poe. Ze skrzyżowania jej z powieściowym melodramatem wyrasta wielki amerykański bestseller lat czterdziestych „The Quaker City" George'a Lipparda. Książka, której w roku 1844 sprzedano 60 000 egzemplarzy. I „Beauchampe" Williama Gilmore Simmsa. Tego samego Simmsa, który na dobrą sprawę dał początek prozie westernu. Ale oto zbliża się kryzys powieści gwałtu i grozy. Dzieje się to za sprawą asymilacji. Za sprawą przeszczepiania werystycznych konwencji zachodnioeuropejskich na teren Stanów. Asymilacja nie jest powtórzeniem. Transponowane konwencje podlegają korekturze. Korektura idzie w kierunku powieściowego melodramatu. W kierunku drugiej spośród dominujących poetyk amerykańskiej prozy. Tej poetyki, która w zachodniej Europie staje się domeną literatury drugorzędnej. Aliaż powieściowego melodramatu i angielskiego naturalizmu tworzy wczesnego Dreisera. Ale nie Franka Norrisa. Frank Norris jest jednym z wielkich patronów amerykańskiego naturalizmu. Jest zarazem twórcą programu. Jego program zakładał połączenie francuskiej powieści eksperymentalnej z poetyką gotycką. Był program bez następstw. Wielki sukces naturalizmu w prozie amerykańskiej XX wieku nie miał z nim wiele wspólnego. Program Norrisa był jednak sygnałem. Sygnałem żywotności poetyki gotyckiej. Odezwała się ona ponownie w pisarstwie Williama Faulknera i młodziutkiej Carson Mc Cullers i Roberta Penn Warrena.

Dziwimy się. Jest to zdziwienie komiczne. Jakże się bowiem dziwić temu, co pozostaje w zgodzie z tradycją. A poetyka gotycka... Poetyka gotycka jest przecie częścią amerykańskiej tradycji powieściowej. Gdybyż tylko! Jest czymś więcej. Jest nurtem dominującym w rozwoju amerykańskiej prozy. Jest nurtem dla tego rozwoju kluczowym.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

ZACHĘTA — „Wyspa tajemnicza"	8 101 widzów
POLONIA — „Siódmy przysięgły"	6 195 widzów

TEATR

NOWY — „Marie Octobre" 5 spektakli	1 500 — 28%
NOWY, Mała Sala — „Garść piasku" 5 spektakli	780 — 83%
7.15 — „Gość z kosmosu" 4 spektakle	1 094 — 78%
„Śpiąca królewna" 2 spektakle	809 — 90%
POWSZECHNY — „Romeo i Julia" 2 spektakle	1 118 — 84%
JARACZA — „Ania z Zielonego Wzgórza" 1 spektakl	650 — 93%
„Wieczór Trzech Króli" 1 spektakl	650 — 93%
OPERETKA — „Czarujący Giulio" 2 spektakle	2 177 — 78%
OPERA — „Verbum nobile" 1 spektakl	711 — 100%
„Bal maskowy" 1 spektakl	690 — 100%
FILHARMONIA — Koncert dyplomantów z PWSM w piątek 1 koncert	440 — 66%
w sobotę 1 koncert	240 — 30%
ESTRADA — Impreza z okazji XX-lecia PRL w Tomaszowie Maz.	4 000 — 150%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

LISTY DO REDAKCJI

Otrzymaliśmy dwa podobne w tonacji listy zrozpaczonych czytelników:

LIST PIERWSZY

PAN K. B.

Może napiszecie coś o tej nowej strasznej plądze odbiorników tranzystorowych. Człowiek nie ma nigdzie od nich spokoju: w parku buczą i piszczą, nad rzeką czy na plaży taki jazgot, że aż głowa boli. I gdzie tu prawo do odpoczynku?

Czy nie pora pomyśleć o zakazie, w imię naszego zdrowia?

LIST DRUGI

PAN N. S. ZE ZGIERZA

Ludzie, ratunku! Kto kupował we Francji te filmy, którymi raczy nas telewizja? Przecież to takie buble, że żadne kino nie wpuściłoby czegoś takiego na ekran. Dla przykładu film z podstarzałą Arletty: kto był w stanie obejrzeć go do końca? Albo film o amatorach - detektywach, jakim uraczono nas ostatnio? W rozmowie z żoną doszliśmy do wniosku, że albo zakupy tych filmów powierzono jakiemuś śmiertelnemu wrogowi telewizji — albo cała ta sprawa filmów zakupionych jest po prostu wielką grandą.

OD REDAKCJI: Zgadzamy się całkowicie i też wołamy: Ludzie ratunku!

LIST TRZECI

WIELCE SZANOWNA REDAKCJO!

Podobno przekręcanie nazwisk w prywatnych stosunkach między ludźmi uważane jest za nietakt. Tym bardziej przykro, gdy to czyni Prasa.

W „Odgłosach" nr 17 z dnia 26. IV. br. w artykule pt. „Rubikon, czyli o ślubach" — Krystyny Wojtasik, zostało przekręcone nazwisko kierownika Urzędu Stanu Cywilnego, Łódź - Śródmieście.

I tak: zamiast Władysław Dordański — napisano Wł. Dardziński.

Znam tego czarującego Pana, ponieważ w ub. roku dawał mi ślub. Staję w obronie Jego nazwiska, albowiem należy znać człowieka, który przyczynia się do naszego szczęścia, lub odwrotnie... Tym bardziej, że jest to miły, kulturalny Pan, naprawdę właściwy człowiek na właściwym miejscu.

„ZADOWOLONA Z ŻYCIA"

Przeczytaj w pociągu Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj u dentysty

SPÓŁKA MORDERCÓW

W marcu 1948 r. ksiądz Salvatore Anastasio wylądował w porcie nowojorskim, gdzie oczekiwali go dwaj starsi bracia – Umberto i Antonio. Antonia poznał z miejsca. Umberta widział po raz pierwszy w życiu, ponieważ urodził się już po jego wyjeździe do Stanów. Ale właśnie Umberto łożył na studia młodego księdza, utrzymywał go nawet w czasie wojny, a teraz opłacił mu podróż do Ameryki. Don Salvatore zauważył od razu że jego bracia są bardzo znani w porcie. Nazywano ich Alberto i Tony. Nawet nazwisko brzmiało już bardziej „po amerykańsku" – Anastasia. Tony był jednym z najgłośniejszych wówczas organizatorów związkowych. Umberto – Albert – właścicielem fabryki odzieżowej. Lśniący Buick zawiózł Salvatore do pięknej willi Alberta w Palisades, o trzy kwadranse od N. Jorku. Albert mieszkał w tej solidnej i wygodnie urządzonej willi wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Podjął brata bardzo serdecznie. Żył statecznie i bogobojnie. Przed każdym posiłkiem odmawiano wspólną modlitwę...

Po 2 tygodniach pobytu u brata Don Salvatore objął parafię świętej Anny w diecezji nowojorskiej. Raz w tygodniu miał dzień wolny. Wtedy rankiem zajeżdżał Buick Alberta i zabierał go na łono rodziny.

„WUJ ALBERTO" I „TWARDY TONY"

W dwa lata później przeglądając, po dniu pracy w konfesjonale, gazety Don Salvatore doznał głębokiego szoku. Na tytułowych stronach wszystkich dzienników widniała fotografia Alberta. Wymieniano go jako jednego z przywódców gangsterskiego podziemia Stanów. W r. 1931 założył nieźle prosperujące przedsiębiorstwo pod nazwą „Spółka akcyjna morderców". Wysłała ona na tamten świat ponad 70 osób. Był dziesięciokrotnie aresztowany, z tego 5 razy pod zarzutem zabójstwa, ale zawsze wychodził cało z opresji z powodu braku dowodów. Gwarancję tego braku dowodów dawało mordowanie świadków. „Wuj Alberto" – jak go czule nazywano, miał do swej dyspozycji ponad setkę torpedos, czyli gunmanów. Ci najemni mordercy często sami przypłacali życiem łamanie żelaznych reguł spółki akcyjnej. Cena za dokonanie zabójstwa wahała się od 1 000 do 1 500 dolarów.

A subtelny, uprzejmy, niemal kobiecy Antonio? Gazety nazywały go „Twardym Tony". Ksiądz wiedział, że jako przywódca związku portowców Tony musiał niejednokrotnie zadawać gwałt swej subtelnej naturze. Utrzymanie w ryzach portowej braci wymagało nie lada silnej ręki. Ale gazety podawały coś więcej. Dzięki mordercom Alberta, Tony rządził portem. Musiano mu się opłacać pod groźbą ognia, sabotażu lub śmierci. Towarzystwo portowe A.A.A. czyli Antonio i Alberto Anastasia było jak widać przedsiębiorstwem dochodowym i opłacalnym.

Czymże były drobne przewinienia zacnych parafian wobec owocnej działalności czcigodnych braciszków? Biedny Don Salvatore był wstrząśnięty i przerażony. Zemdlał w kościele. Ocknął się po 48 godzinach w szpitalu. Przy jego łóżku siedział niespokojny Albert.

„Wiem, dlaczego zemdlałeś – powiedział. Ale nie martw się, nie mogą mi nic udowodnić." I rzeczywiście. Nic mu nie udowodniono, choć opinia publiczna Ameryki uważa go za jednego z największych bandytów naszych czasów. Obecnie Don Salvatore pisze razem z prof. Vincenzo Benassi książkę o swoich braciach.

FILAR PORTOWEGO GANGU

Opowiedziana przezeń historia różni się znacznie od tej jaką głosi amerykańska prasa, amerykańska opinia publiczna. Tylko nazwiska i fakty pozostały te same.

W małym miasteczku w Calabrii żył sobie biedny kolejarz Bartolomeo Anastasio wraz z żoną Marianną i 10 dzieci. Ich czwarty z kolei syn Umberto już mając lat 13 znakomicie rozumiał nędzę rodziny i często od ust sobie odejmował dla dobra rodzeństwa. Był ładny i bardzo uczuciowy. Litował się nad biednymi i nieszczęśliwymi. Mówiono o nim, że ma tylko jedną wadę: chce mieć zawsze rację. Aby pomóc rodzinie wcześnie zaczął pracować za nędzne zresztą grosze. Potem postanowił zostać księdzem i wstąpił do seminarium duchownego. Szybko się jednak stamtąd ulotnił i pewnego dnia gnany żądzą poznania świata uciekł na małym żaglowcu do Neapolu. Zaciągnął się na statek i wkrótce wylądował w Ameryce. Tam zaopiekowała się nim pewna włoska rodzina. Został kelnerem we włoskiej restauracji. Pisał do matki: „tu wystarczy wrzucić monetę do dziury w ścianie a wyskakuje zupa. Zobaczysz, wkrótce postawię ci piękny dom." Rzeczywiście, regularnie przysyłał pieniądze do domu. W r. 1919 umarł ojciec. Umberto opłacił pogrzeb i nadal, nieustannie wspomagał rodzinę. Cieszył się sympatią przełożonych i klientów. Zwłaszcza trzej wytworni panowie darzyli go zawsze obfitymi napiwkami.

Pewnego razu zaproponowali mu pracę w porcie, obiecując złote góry. Jego błyskawiczna kariera zjednała mu wielu wrogów. W tym środowisku było to wyjątkowo niebezpieczne. Zrozumiał to dobrze, gdy pewnego razu okrutnie go pobito przed własnym domem. Wtedy Umberto kupił sobie rewolwer. Oskarżono go o nadużywanie broni. Dostał 15 miesięcy, ale zwolniono go przed terminem z uwagi na dobre sprawowanie. Nieprzyjaciele Umberta czuwali jednak, gotując mu „miłą" niespodziankę. W porcie zamordowano jednego z dokerów. Znalazło się 4 świadków, którzy zeznali, że sprawcą zbrodni jest Umberto Anastasio. Skazano go więc na śmierć i zesłano do Sing-Sing.

Wieść o wyroku dotarła do matki skazańca. Obiecała ona świętemu Andrzejowi piękny witraż w zamian za ocalenie syna. Widać poskutkowało, święty dał się przekupić, bo w przeddzień egzekucji, gubernator zarządził ponowne śledztwo. Czterej świadkowie zniknęli z horyzontu i Umberta wypuszczono z powodu braku dowodów winy.

Wersja prasowa różni się tu w interpretacji wydarzeń od wersji Don Salvatore. Umberto nie kupił rewolweru dla samoobrony. Uważano go za postrach portu. Nosił przydomek „bum-bum", bo lubił strzelać. Był już wtedy filarem portowego gangu.

Ośmielił się stawić mu opór niejaki Joe Turino, organizując uczciwy związek zawodowy. Anastasio „sprzątnął" nieprzezornego moralistę. Czterej świadkowie zniknęli także. I oni zostali „sprzątnięci".

W oczach brata, Umberto był jednak niewinny i cierpiał wielce z racji niesprawiedliwego wyroku. W międzyczasie zmienił imię i nazwisko stając się odtąd Albertem Anastasią. Opiekował się biednymi i skrzywdzonymi.

Gazety amerykańskie precyzują jednak, że nie było takich w środowisku portowym, którzy ośmieliliby mu się sprzeciwić. W tym mniej więcej czasie założył swoją „spółkę akcyjną morderców". Jego władza sięgała tak daleko, że udało mu się przy pomocy fałszywego pielęgniarza uśmiercić zastrzykiem trucizny, nieprzejednanego prokuratora Jeremy Caldwella. Rzekomy pielęgniarz – Ralph Garbo zginął wkrótce potem, jako że język miał zbyt długi.

Don Salvatore zapewnia natomiast, że życie Alberta po pobycie w Sing-Sing było ciężkie i pełne wyrzeczeń. Prowadził jako współwłaściciel ubożuchną restaurację. Postanowił sprowadzić do siebie Antonia. Ten, jako marynarz, w Chinach ciężko chorował i operowano mu nerkę.

Antonio szybko dochrapał się kierowniczego stanowiska w porcie. Był świetnym organizatorem i potrafił walczyć o prawa robotników. Miał jednak wielu wrogów.

W 1939 r. znaleziono zwłoki młodego Peter Panto, organizatora niezależnego związku portowców. Zamordowano także Morrisa Diamonda, agenta handlowego walczącego z gangami nakładającymi wysokie okupy na transporty samochodowe przemysłu odzieżowego. Zdaniem księdza Anastasio, sędzia William O'Dwyer pragnąc przyspieszyć swoją karierę rozpętał całą kampanię przeciw jego braciom i przeciw rzekomej „Spółce morderców", oskarżając ich o dokonanie wspomnianych zabójstw. Niestety, jak zwykle nie było dowodów.

Wybuchła wojna. Antonio został przedstawicielem wojska dla spraw kontroli towarów w porcie nowojorskim. Jego prestiż wzrósł jeszcze. Albert zaciągnął się do wojska, do 88 dywizji, strzegącej wybrzeży USA. W 1944 zyskał stopień sierżanta i obywatelstwo amerykańskie. Policja i opinia publiczna uważały go za miliardera.

W r. 1955 Albert został aresztowany za przestępstwa

25 października 1957 Don Salvatore spieszył na spotkanie z Albertem. Otworzył radio w samochodzie. Speaker mówił właśnie o śmierci jego brata. Tego ranka o 10.15 Albert siedział na fotelu u fryzjera Josepha Bocchino, gdy zjawili się dwaj zamaskowani i czarno ubrani mężczyźni. Fryzjer zwiał. Anastasia dostał 4 kule. Mordercy uciekli, rzucili maski i pistolety i zniknęli w tunelu metra. Don Salvatore klęczał przy zwłokach brata gdy zjawił się Antonio. „Zobaczysz – powiedział – cała prasa rzucać będzie oszczerstwa na Alberta. Ze skrytobójczego mordu zrobią zasłużoną karę. Z nekrologu – zbiór inwektyw.

Antonio był zawsze dobrym mówcą. Ponadto, mając w żyłach krew zacnego misjonarza, był też człowiekiem miłosiernym, troszczącym się o dobro innych. Jako wiceprzewodniczący International Longshorman Association wybudował tzw. „1814", wspaniały pałac związku portowców, biura, audytoria, restauracje, klimatyzacja, telewizory. Dzięki jego działalności wzrosły znacznie płace i zasiłki chorobowe portowców. Założył bank krwi, klinikę i wywalczył dla portowców obowiązkową pomoc lekarską. Zmarł w marcu 1963 roku. Jedyna nerka odmówiła mu posłuszeństwa. W opinii Ameryki pozostał „Twardym Tony", którego karierę ułatwiły wszechpotężne i wszechobecne pistolety Alberta.

KIM WIĘC BYLI BRACIA?

Kto ma rację: amerykańska opinia publiczna, czy włoski ksiądz? Jeżeli prawdę mówi Ameryka, to Albert stanowił dziwną mieszaninę, okrucieństwa, zezwierzęcenia, krwiożerczości z łagodnością, hojnością i wspaniałomyślnością

Jeżeli prawdę mówi Don Salvatore, to obaj bracia padli ofiarą kolosalnie zmontowanej afery, w której palce maczali i politycy i policja, i świat przestępczy Ameryki.

opr. K. K.

Przeczytaj w pociągu Przeczytaj w tramwaju Przeczytaj u dentysty

Notatnik kulturalny

1—7. VI. 64.

PONIEDZIAŁEK

Dzień Dziecka. Można wspomnieć o konkursie malowania na asfalcie zorganizowanym przez TPŁ, można zacytować znany wers z Gałczyńskiego „Dzieci — słońce i radość, dzieci — najdroższy skarb". Rok temu „Nasza Księgarnia" wydała śliczną antologię pt. „Dziecko w poezji polskiej". Otwiera ją bolesna fraza „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim" — Jana Kochanowskiego; zamyka wiersz Harasymowicza. W środku 44 poetów, a wśród nich Karczewska, Huszcza, Pogonowska... Dużo smutku w tej książce i może nie bardzo pasuje ona na świąteczną kartkę, ale taki już nasz los, taka historia że nad poezją, także tą mówiącą o dziecku unosi się cień śmierci i smutku. „Warkoczyki" Różewicza, „Ballady i romanse" Broniewskiego, „Dziecko żydowskie" Gałczyńskiego... Dziś za to roześmiane dzieciaki — przyszli Gierymscy i Wyczółkowscy — nanoszą płaszczyzny kolorowej kredy na asfaltowy biejtram Piotrkowskiej. Świeci słońce, dzieci się śmieją. „Dzieci, słońce i radość, dzieci najdroższy skarb".

WTOREK

Rośnie Łódź. Dosłownie i w przenośni. Na posiedzeniu Głównej Rady Gospodarczej ZG Związku Plastyków padł wniosek aby katalogi wystaw plastycznych z całej Polski drukować w pracowni, która może zagwarantować wysoki poziom artystyczny i poligraficzny: W Graficznej Pracowni Doświadczalnej w Łodzi. Nie zdziwił mnie ten wniosek. Łódzkie GPD drukują ... formularze, kwitariusze, ankiety — słowem rzeczy które na zwykłej pedałówce wykonać może byle spółdzielnia pracy. Będą zaś drukować katalogi — graficzne cacka, wizytówki wystaw jakich otwiera się w Polsce kilkadziesiąt miesięcznie. A cóż dopiero, jak ruszy w Łodzi jedyny w Polsce światłodruk? Jak zacznie się druk wielobarwnych reprodukcji, albumów współczesnego malarstwa W Warszawie, Krakowie prasa donosić będzie: „Znów kilku plastyków przeniosło się do Łodzi". W ten sposób odbierzemy obu stolicom to co nam zabrano.

ŚRODA

„Wy za co tu, kolego?" — pytał jeden drugiego. Odpowiadali: ślusarz — za produkcję śrub bez gwintów, kasjer — za luki w wiedzy w zakresie czterech działań, piekarz — za wypiek niejadalnych bułek. A potem wstał jeden i powiedział: „Otwieram naradę pracowników kulturalno - oświatowych". Tak było kiedyś. Dziś łódzkie studium kulturalno-oświatowe i bibliotekarskie w ciągu trzech lat istnienia wypuściło 72 wykwalifikowanych pracowników kultury. Dwuletnie (po maturze) szkoły tego typu istnieją w kilku miastach, ale łódzka ma już swoją markę. Niedawno był w studium przedstawiciel Wydziału Kultury z Zielonej Góry i ... „kupił" 12 absolwentów. „Kupił na pniu", oferując im bardzo poważne nawet stanowiska i — rzecz niebywała — mieszkania. Stosunek kandydatów do przyjętych kształtuje się mniej więcej 2:1, ale kto na „kaowca" ma powołanie niech spróbuje szczęścia. Do dnia 25 czerwca Studium (Traugutta 18) przyjmuje podania.

CZWARTEK

Zdradzę pewną tajemnicę. Jak wiadomo Wydział Kultury WRN i Związek Literatów ogłosiły konkurs na powieść związaną tematycznie z 20-leciem PRL. Rozstrzygnięcie miało nastąpić w maju. Nie nastąpiło. Każdy z członków sześcioosobowej komisji musi przeczytać 12 imponujących objętościowo powieści, i rzecz cała przeciągnie się jeszcze z półtora miesiąca. A jest w czym wybierać. Dowiedziałem się, że bardzo ciekawa jest powieść o tematyce łódzkiej pt. „Szkoła". Ciekawa formalnie, pisana w interesującej konwencji, jest też powieść nadesłana aż z woj. krakowskiego. Zdaje się, że jury nie będzie miało łatwego zadania w wyborze najlepszej książki. Lepszy oczywiście taki problem niż żałosny komunikat o nierozstrzygnięciu konkursu z powodu... niskiego poziomu wszystkich prac. A zdarzyło się kiedyś coś podobnego w Łodzi.

PIĄTEK

Po raz pierwszy zdarzyło mi się otrzymać zaproszenie na wystawę malarstwa, na którym to zaproszeniu widnieje karykatura artysty. Dowcipne to i oryginalne. Wiesław Garboliński który wystawił swoje prace w Klubie Dziennikarza ma poczucie humoru. Garboliński jest realista — w jego pracach zwartych i surowych brak smaczków obliczonych na snoba i zdegustowanego konesera. Nie jestem ani snobem ani koneserem, jestem zwykłym oglądaczem wystaw i entuzjastą sztuki, która czemuś służy. Myślę, że sztuka Garbolińskiego dobrze służy idei twórczego realizmu.

SOBOTA

Regionalne galówki mają tyluż zwolenników co przeciwników. Zwolenników rozumiem, bo sam nim jestem; przeciwników... ale o tym później. Tym razem Sieradz ma swoje dwudniowe święto. Te galówki są potrzebne — zdrowy lokalny patriotyzm jaki rodzą te powiatowe Dni, to przecież jakaś tam cząstka patriotyzmu w ogóle, polskiego patriotyzmu. Nie można kochać tej ojczyzny, tego miejsca na ziemi między Odrą i Bugiem nie kochając Widawki, Bzury, swojego regionu, miasta, ulicy. Poza tym Dni są dla powiatowych ośrodków jedyną okazją eksponowania swoich osiągnięć, tradycji — choćby tej swojej lokalnej Straży Pożarnej, kapel i zespołów... Pochwalam Dni Powiatowe i jestem ich zwolennikiem. A przeciwników... cóż, mogę tylko zapytać czy znają bajkę o Sieradzu?

NIEDZIELA

Byłem kiedyś w chorzowskim Parku Kultury i Wypoczynku. Na kilkudziesięciu hektarach — oaza zieleni. Dziś w Tomaszowie Maz. otwarto także Park Kultury. Otwarto uroczyście i z biciem w werble — tomaszowskie uroczystości inauguruią obchody 20-lecia PRL i Ziemi Łódzkiej. Na trybunie wśród przedstawicieli władz partyjnych i państwowych stał Jan Dąb-Kocioł — pierwszy ludowy łódzki wojewoda. Przed trybuną defilowało ponad 5 000 mieszkańców, dla których pojęcie „wojewoda" jest już zupełnie historycznym pojęciem. Jutro wejdą oni w aleje Parku Kultury, który stworzono z myślą o nich, o ich kulturalnej rozrywce i odpoczynku. Za parę lat ci młodzi śpiewający w niedzielnym pochodzie staną razem obok tamtych starych działaczy z tomaszowskiej trybuny. To brzmi patetycznie, ale jest w tym jakiś sens i jakaś prawda naszego ludowego jubileuszu.

JERZY WILMAŃSKI

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. – Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1786. VI. 64. F-13